

# KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 5 grudnia 1948 r.

Nr 49 (170)

**TYCODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI**

KAZIMIERZ BRANDYS

## LISTOPAD MOSKIEWSKI

**W**YSTARTOWALIŚMY w sobotę 6-go. W piątek była mgła i jakieś nieprzychylnie wiatry. Moskwa ostrzegła, żeby nie startować. Dopiero więc w sobotę wzniesiliśmy się w powietrze i po minucie zobaczyłem wieżyczkę kościoła Zbawiciela, nie większą od mojego pióra. Leciliśmy na wysokości 500 metrów. 5-cio godzinny lot okazał się męczący nawet dla ludzi z zaprawą. Podobno na skutek dziur powietrznych. Mój Boże, człowiek codzień ma do czynienia z powietrzem i chwali je sobie; któżby uwierzył, że jest to najbardziej dziurawa rzecz na świecie. W południe mineliśmy Wielkie Łuki. Przypomniał mi się jakiś smutny i szary dzień okupacyjny, gdy przyszedł ktoś z ulicy i powiedział: „Wzięli Wielkie Łuki”... Leciliśmy wzdłuż szlaku pierwszych odwrotów i późniejszych zwycięstw. Przez szybę samolotu patrzyłem na wsie i miasteczka. Z ich nazw, wymienianych w komunikatach, składały się wtedy nasze dni, tygodnie, miesiące... Ziemia teraz podobna do każdej innej. Z góry wygląda jak pasiaste sukno, płowa-zielono-szare, pocięte prostymi liniami szos. Dziwne, że tutaj wszystko się działo. Wiatr, który nam przeszkadza, rzucając samolotem, to wiatr późno-jesienny. Ten sam 7 lat temu wzmógł powietrze z wilgoci i siał na ziemię mróz, który pomógł oczyścić z Niemców przedpola Moskwy. Dobry to wiatr, nie trzeba się na niego skarżyć.

Moskwa zapala swoje pierwsze światła. Kiedy cichymi „Zisami” wjeżdżamy do śródmieścia, jest 4-ta. Zgubiliśmy w drodze 2 godziny, w Warszawie zegary wskazują teraz 2-gą. Wiedziałem od dawna, że Moskwa jest bardzo wielkim miastem. Ale, oczywiście, wyobrażałem je sobie zupełnie inaczej. Mój ojciec, jeździł tu często przed rokiem 1914 i opowiadał, że Moskwa to „bolszaja dierewnia”. Potem widywałem w pismach fotografie nowych olbrzymich gmachów i czytałem o budownictwie socjalistycznym. Można było jedno z drugim połączyć w wyobraźni, wiedziałem przecież, że poszerzono niektóre ulice, przesuwały wielopiętrowe domy na kółkach... Teraz jednak, w głębi samochodu, powoli torującego sobie drogę wśród tłumów na skrzyżowaniach, przeżywam tę niewyraźną, przedziwną różnicę między słowem „wiedzieć” a słowem „zobaczyć”. Chciałbym opisać śródmieście moskiewskie, tak jak ujrzałem je poraz pierwszy. Mam jeszcze w uszach granie tysiącznych klaksonów, pamiętam kolorowe światła, gwar, piętnastopiętrowe sześciany gmachów, białe stragany z mandarynkami na rogach ulic, rozjarzone wystawy sklepów, wieże Kremla z pionącymi gwiazdami... ludzi, ludzi, ludzi zalewających chodniki. I znów, kiedy to piszę, ogarnia mnie niemal rozpacz, którą dobrze zna każdy, kto chwytając pióro potyka się o niezmienną i diablo trudną różnicę między słowem „pamiętać” a słowem „opisać”. Byłem tam wszystkiego 7 dni. W ciągu 7 dni w przeciętnym mieście można zobaczyć domy, ulice, twarze, fabryki, sklepy i pojazdy. A jednak w Moskwie widziałem więcej. Odczułem to, co stanowi istotę tego miasta, jego dzisiejszą, niepowtarzalną treść, która powstawała w ciągu trzydziestu lat. Trzydzieści lat wzrastał tutejszy człowiek, inny i lepszy niż gdziekolwiek indziej. Trzydzieści lat pracowały mózgi i maszyny, aby dawna „bolszaja dierewnia” stała się socjalistyczną stolicą socjalistycznego kraju. Trzydzieści wiosen, zim, jesieni i lat z tego miasta wychodziły zasady pracy i strategii, dla załóg robotniczych, dywizji polowych i pojedynczych ludzi. Nie można, nie warto wyobrażać sobie, jak wygląda Moskwa, jeśli się nie chce pamiętać o treści potężnych sił, dzięki którym dzisiaj w tym mieście złote kopuły starych cerkwi



Józef Stalin



Moskwa. Defilada na Placu Czerwonym

zostały przestonięte przez szczyty wielopiętrowych, białokamiennych bloków.

Akademia ku czci 31 rocznicy Listopadowej Rewolucji odbyła się w dniu naszego przylotu. Punktualnie o godzinie 7-ej, tak jak było zapowiedziane w programie w ogromnej sali Wielkiego Teatru zapanała cisza. Powtarzam te słowa z groźnym naciskiem pod adresem organizatorów wszelkich podobnych imprez w naszym kraju. Wszystkie uroczystości, przedstawienia, zebrania i wyjazdy, w których brałem udział w Moskwie, zaczynały się dokładnie z wybięciem oznaczonej godziny. Trzy-minuty po 7-mej w sali brzmiały już

pierwsze zdania przemówienia Mołotowa. Jeden z naszych przewodników tłumaczył, że ta precyzyjna punktualność nie wynika z formalizmu. Jest to normalny przejaw organizacji życia w Związku Radzieckim — Naszą zasadą jest szacunek dla pracy człowieka. Na sali widzicie pracujących ludzi.

Wszędzie, na każdym kroku spotykałem się tam z pogardą dla zwłoki. Marnowanie ludzkiego czasu uważa się w tym kraju za przywarę głupców.

Sala Wielkiego Teatru w Moskwie pamięta dni ostatnich Romanowych. Spod zerwanych sztandarów, spod emblematów hasel wyglądają przeladowane złoconymi operowej secesji; zachowała się nawet

„Komunistą można stać się tylko wtedy, gdy swą pamięć wzbogaci się znajomością tego całego dorobku, który wytworzyła ludzkość”.

Włodzimierz Lenin

### TREŚĆ NUMERU:

- KAZIMIERZ BRANDYS —  
LISTOPAD MOSKIEWSKI
- LEOPOLD STAFF —  
WIERSZE
- MIECZYŚLAW JASTRUN —  
„ZEM WIDZIAŁ RZECZY  
KTÓRYCH TU NIE WIDZIAŁ  
ZADEN CZŁOWIEK”
- JAN REYCHMAN —  
DWIE REWOLUCJE  
I DWIE ROCZNICE
- RYSZARD MATUSZEWSKI —  
WIERSZE
- ANDRZEJ STAWAR —  
LITERAT I WIESZCZ (II)
- ILIA ERENBURG —  
NA ŚWIATOWYM KONGRESIE  
INTELEKTUALISTÓW  
W OBRONIE POKOJU
- ksm (opr.) —  
ANGIELSKA DYSKUSJA  
O KONGRESIE WROCLAWSKIM
- MARIA JANION —  
O EKLEKTYZMIE  
I OBIEKTYWIZMIE
- ADAM WAŻYK —  
Z TEATRÓW ŁÓDZKICH
- MARIAN L. BIELICKI —  
PIERWSZE PORYWY
- KANDYD —  
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
- PRZEGLĄD PRASY
- KORESPONDENCJA
- NOTY

dawna carska łoża, zawieszona nad proscenium, ciężka od złota jakby jakaś ikona z fin de siècle'u. Siedzimy na drugim piętrze, nad nami jeszcze trzy. Piękna nas oczy po podróży i kręci się trochę w głowie od ilości zgromadzonych ludzi, od czerwieni i owacji. Publiczność jest młoda, niewielu mężczyzn po pięćdziesiątce — reaguje gorąco. Rozróżniam twarze robotników, studentów. Na fotografiach z okresu Rewolucji, wśród pierwszych żołnierzy Czerwonej Armii otaczających Lenina w Smolnym, wśród Putiłowców i matrosów z Kronsztadtu — byli ich ojcowie. W obłożonym Leningradzie, w kabinach samolotów rozbijających niemieckie kolumny pod Moskwą, w porytych szrapnelami rowach Stalingradu — byli oni sami. W sąsiedniej łoży słyszę kilka francuskich słów, o piętro ponad nami siedzi delegacja robotników włoskich, nieopodal grupa niemiecka; dostrzegam ciężką, siwiejącą głowę Grotte-wohla. Ktoś trąca mnie w ramię i podaje lornetkę: na dalekiej estradzie za stołem przykrytym czerwonym sukmem siedzi garstka ludzi. Poznają po kolei, bez trudu, twarze dobrze znane z historii trzydziestolecia: jeden z twórców Czerwonej Armii... organizator ciężkiego przemysłu ZSRR... człowiek, który kierował kolektywizacją ziarna... bohater wojny domowej... dowódca frontu w czasie wojny z faszyzmem.

— Niezły kawałek historii — szepcze mi ktoś do ucha. — I teraźniejszości — dodaje. Obydwa wiemy ponadto, że rękami tych ludzi, którzy zapełnili pięć pięter teatru, rękami robotników, inteligentów i młodzieży radzieckiej, tworzy się przyszłość. Niezły kawałek przyszłości.

Mowę Mołotowa przedrukowała w całości krajowa prasa. Cóż mógłbym tu dodać? Mógłbym najwyżej opisać, jaki ma głos Minister Spraw Zagranicznych ZSRR, al-



bo jak był ubrany. Ale w tym przemówieniu uderzyła mnie jedna rzecz. Przypuszczam, że nie tylko mnie, lecz wszystkich, którzy je czytali i słyszeli. Z wyjątkiem może pp. Bevina i Marshalla, choć i to nie jest pewne. Otóż w ostatnim przemówieniu Mołotowa, jak i zresztą w całym cyklu publicznych oświadczeń polityki i dyplomacji radzieckiej, dają się odczuć nowe, uderzające akcenty. Pamiętam, że pierwszy raz zastanawiałem się nad tym, kiedy w Paryżu w 1946-ym dostałem do rąk numer prawniczy „Le Monde” z wywiadem Stalina udzielonym przedstawicieli United Press. Na tle dość cynicznych i obłudnych wynurzeń reakcyjnego dziennika tych kłynki spalił powiało na mnie zupełnie odmiennym oddechem moralnym. Przywódca robotniczego państwa w paru otwartych i prostych słowach wyraził przekonanie, że trwałe pokój jest możliwy i określił warunki, jakie w tym celu trzeba spełnić. Z początku zdawało mi się, że wrażenie odmienności tej wypowiedzi od wszystkich innych jej podobnych — ma przyczyny tylko stylistyczne. Dopiero potem zrozumiałem, że ta stylistyka płynie z potężnych źródeł moralnych. Z czasem potwierdziły mi to późniejsze publikacje rządu i polityków radzieckich, — każdy je pamięta. Kto czytał notę rządu ZSRR w sprawie sytuacji w Berlinie, — kto śledził wystąpienia min. Wyszyńskiego w ONZ, ten niewątpliwie odczuł zawartą w tych enuncjacjach jawną, nieustępliwą, ofensywną prawdę — prawdę „ludzi o czystych sumieniach”. Takimi zdaniem i z taką prostotą potrafią przemawiać tylko ci, za którymi stoi bezsporna racja dobrej woli i sprawiedliwości. Dźwięczała ta racja w rocznicowej mowie Mołotowa. Dlatego zapewne przez niemal dwie godziny słuchaliśmy jej z zapartym tchem.

Mylą się ci, którzy sądzą, że nowy, nieznanymi w tradycjach europejskiej dyplomacji, styl wystąpień radzieckich mężów stanu — jest tylko wynalazkiem retoryki, nowoczesną zdobyczą techniki międzynarodowych targów. Nie. Wszystko co widziałem w Moskwie, każda twarz ludzka, każdy fakt uliczny, przypadkowe szczegóły i najbardziej celowe całości — co krok mówiły mi o tym, że przebywam na pokojowej ziemi, wśród ludzi, którzy wojnę uważają za bezsporne zło. Jeśli przy tem oceniam rozmach twórczy tego kraju, wielkość energii duchowej i materialnej, jaką mobilizuje tam człowiek — wówczas dopiero można w pełni pojąć straszliwe spustoszenia moralne w społeczeństwach zachodnich. Polityka radziecka żąda dzisiaj prawdy. Politycy zachodni — muszą klamać. Zrozumiałem to z zupełną jasnością w nocy z 6 na 7 listopada, patrząc na tłumy dziewcząt i chłopców z moskiewskich fabryk, którzy obchodzili swoje święto na Czerwonym Placu. Przyszło mi wtedy na myśl, że Bertrand Russel, angielski uczonec i pisarz, oraz T. S. Eliot, brytyjski poeta — oświadczyli niedawno, iż niebezpieczeństwo komunizmu na świecie należy zażegnać prewencyjną wojną atomową. Tam, na Czerwonym Placu stałem w środku, w samym środku tego niebezpieczeństwa: słyszałem wesoły śmiech młodych, zdrowych ludzi, skoczne piosenki i powłóczyste tanga, nadawane przez megafony, i przyglądałem się komunistycznym dzieciom liczącym z wielką satysfakcją komunistyczne lody i obrzucającym się skórkami mandarynek. Biedni angielscy pisarze. Biedni obłąkańcy z zachodnich stolic, którzy odpychają od siebie prawdę moskiewskiej ulicy, taką ludzką i prostą...

— Czy ZSRR ma bombę atomową? — Spytał mnie o to ktoś z przyjaciół, w godzinę po powrocie.

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Ale czy wiesz, że mandarynki, które jedzą dzieci radzieckie, to prawdziwe komunistyczne mandarynki? Nie było ich w carskiej Rosji. Jest to owoc, dosłownie: owoc doświadczeń tamtejszych uczonych; sprawili że ziemia radziecka rodzi je teraz równie łatwo, jak gruszki i jabłka.

Drobny, mżący deszcz ustał przed chwilą. Nasza trybuna znajduje się na prawo od Mauzoleum Lenina, u stóp murów Kremla. Wzdłuż Czerwonego Placu stoją nieruchome kolumny wojsk z pocztami sztandarowymi. Za moimi plecami grupa mężczyzn i kobiet rozmawia po włosku. Major — artylerzysta z gwiazdźstwą odznaką na piersi, podnosi do góry małą córeczkę w śmieszny, kosmaty futerku: na wieży zegar zaczyna wybijać godzinę 10-tą. W tym samym momencie z lewej strony placu wyjeżdża dwóch jeźdźców na koniach. Rozmowa za plecami milknie. Przy dźwiękach olbrzymiej orkiestry złożonej z pół tysiąca instrumentów, w rytmicznym salucie dział — rozpoczyna się przegląd wojsk. Kolumny, z głowami zwróconymi w

prawo, przechodzą przed Mauzoleum, gdzie spoczywa Wielki Umarły. Ze szczytu Mauzoleum ludzie, których poprzedniego wieczoru widziałem w teatrze za czerwonym stołem prezydiatnym, pozdrawiają chylące się sztandary. Defiladę przyjmują umarli i żywi. Wzdłuż murów Kremla, przed którymi przeciągają piesze, konne i zmotoryzowane pułki, leżą w urnach ukrytych pod kamiennymi płytami popioły nieżyjących bojowników o sprawę proletariatu. Spotkanie tam nazwiska rosyjskie, polskie, niemieckie, angielskie. Klara Zetkin, stara działaczka Komunistycznej Partii Niemiec, spoczywa nieopodal Johna Reeda, autora głośnej książki „10 dni, które wstrząsnęły światem”. Obok nich inni, polegli, zmarli, straceni w powietrzu — bohaterowie ZSRR, partyzanci ostatniej wojny, czołowi działacze partii, pisarze.

W nieustającym grzmocie dział idą podchorążowie marynarki, przelatuje z błyskiem szabel pułk kawalerii, z hukiem gąsienic przelatują się czołgi o długich sterujących lufach, powietrze przesywa wyjący gwizd: to eskadry raketowych samolotów przecinają niebo ponad wieżami Kremla i nikią za Wasylim Błażennym... Nieskończone szeregi ludzi, ruchome fortece, tajemnicze konstrukcje z żelaza, żywe, prace naprzód, najeżone stalą kwadraty i prostokąty o wspólnym rytmie ramion, głów i nóg przesuwają się przed nami, ciągle nowe, zmienne, groźne w swoim podobieństwie i różnorodności.

Po krótkiej przerwie z daleka rozlega się śpiew: — „Les ouvriers...” — informuje ktoś po francusku. W lewy skraj placu wlewa się kolorowy tłum. Plac Czerwony w Moskwie, na którym Iwan Groźny lubił ścinać głowy swych poddanych, należy do największych, jakie widziałem w życiu. Aby sobie wyobrazić jak wyglądał pochód ludności cywilnej, trzeba pamiętać, że Moskwa liczy dziś około 7 mil. ludzi i że w rocznicę Rewolucji przed Mauzoleum Lenina przeciąga 1/3 jej mieszkańców. Robotnicy, młodzież, artyści, pracownicy umysłowi przez szereg godzin szli nieprzerwanym tłumem, wypełniając plac od brzegu do brzegu, od krańca po krańce, niosąc na ramionach las czerwonych transparentów, sztandarów, figur i portretów. Sama młodzież ciągnęła chyba za dwie godziny, poczwornym, gigantycznym pasem, złożonym z swetrów białych, żółtych, niebieskich i zielonych. Znow zaczyna mżyć drobniutki deszczyk. Ale pochód nie ustaje. Ktoś obok mnie wymienia nazwy maszerujących instytucji. W huraganie okrzyków idą fabryki, teatry, uczelnie, związki, zakłady...

W ciągu paru godzin przesunął się przede mną tego dnia potężny ułamek największej siły zbrojnej w Europie. W ciągu następnych — widziałem olbrzymią rzeszę pracującego społeczeństwa, którego entuzjazm i ofiarności na pewno nie ma równych gdzie indziej. Armia tego kraju i jego ludność sprężniona jest jednością woli i działania, wychowana w jednej ideologii, zaprawiona w najcięższych próbach i gotowa do najtrudniejszych zadań. A równocześnie — odczuliśmy to wszyscy — przeszła przed naszymi oczami najbardziej pokojowa siła dzisiejszego świata. Wódz tej armii i kierownik tego społeczeństwa — chce pokoju. Prosty człowiek, który niósł w tłumie transparent z jego portretem — chce tego samego. Ta jednoczesność przytłaczającej potęgi żelaza i spokojnej godności pracujących ludzi — wywiera wrażenie, którego opisać się nie podejmuję.

Jeślibym zechciał najtrzeźwiej określić atmosferę otaczającą człowieka w ZSRR, musiałbym użyć słowa „dydaktyzm”. Zagadka, jaką to społeczeństwo postawiło światu, jest bardzo prosta: polega na tym, że codzienną zasadą życia radzieckich ludzi stanowi praca i nauka. Mieszczanin z Zachodu wielu rzeczy nie mógłby tam pojąć, dlatego że zbyt są mu obce. Nie zrozumie przede wszystkim dydaktyzmu, wychowawczości życia radzieckiego. Człowiek w tym kraju nie jest pozostawiony sam sobie, kształtuje go szereg instytucji społeczno-politycznego uświadomienia, od zakładu pracy poprzez zrzeszenie czy związek — aż do najwyższego szczebla: komórki partyjne.

Dla turystów z państw liberalno-burżuazyjnych cała ta struktura może wydać się niepotrzebna. Babbitty i Durandy, bohaterzy Sartre'a, Koestlera i Mauriaci mogą łatwo uspokoić swoje sumienia paru formułkami o agitacji, automatyzacji lub presji na jednostkę. Byłoby bezowocne tłumaczyć im, że tak nie jest; „wishful reason”, rozumowanie w myśl własnych życzeń — należy do najbardziej uporczywych chorób dzisiejszego Zachodu. W ZSRR istnieje dydaktyczna literatura, dydaktyczna prasa, dydaktyczny film; wy-

starczy zaobserwować reakcję publiczności radzieckiej na pierwszym lepszym spektaklu, aby uprzytomnić sobie, że element wychowawczy tamtejszej sztuki jest odczuwany jako prawdziwa potrzeba. Największym błędem byłoby jednak sądzić, że wzamian za ów dydaktyzm odbiorca radziecki musi się wyrzec trwałych wartości wielkiej tradycji europejskiej sztuki. Dla przykładu zacytuję parę pozycji repertuarowych kilku teatrów moskiewskich w czasie 7 dni mojego pobytu: „Martwe dusze”, „Cyrano de Bergerac”, „Madame Bovary”, „Anna Karenina”, „Nauczyciel tańca” (Lope de Vega), „Na dzień”, „Pygmalion”. Przy czym muszę stwierdzić, że — zarówno na sztuki współczesne, jak i klasyczne — publiczność, zwłaszcza młoda, reaguje tak gorąco i entuzjastycznie, oklaski są tak burzliwe, artystów wywołuje się po tyle razy, że... ogarniał mnie żal na myśl o naszym krajowym ratowaniu Achardem kasy nadzarpniętej po Szekspirze.

Pewnego dnia (był to dzień, kiedy na Moskwę spadł pierwszy śnieg) przedpołudnie spędziłem w Muzeum Lenina. Tak się zdarzyło, że tego samego dnia wieczorem pokazano nam nowy film radziecki, „Młoda Gwardia”. Dlaczego łączę te dwie rzeczy? Po prostu dlatego, że w obydwu wypadkach spotkałem się z przykładem socjalistycznej dydaktyki. Muzeum Lenina nie jest tylko zbiorem pamiątek po zmarłym wodzu; film osnuty na tle powieści Fiediejewa nie zawiera jedynie wartości rozrywkowych. Obydwa zjawiska uczą i wychowują. Każde z nich oddziaływa na wyobraźnię, kształtuje charakter i uświadamia w duchu socjalizmu.

W muzeum widziałem sceny, jakich nie można dziś zobaczyć nigdzie na Zachód od „żelaznej kurtyny”. Starcy, dzieci, żołnierze, zgrzybiałe chłopki, podrostki, inwalidzi wojenni, kilkunastoosobowe rodziny z babkami — wszystko to oblepiało szklane gabloty, aby obejrzeć notatkę na marginesie książki, należącej niegdyś do człowieka, który całym swym życiem określił treść słowa: bolszewik. Muzeum Lenina można uważać za pierwszorzędną dzieło sztuki ekspozycyjnej, najbardziej obojętnej przybysz musiałby to stwierdzić — ale dla widza, który rozumie sens zawartej w nim prawdy i siłę jego metafory, stanowi ono niezapomniane przeżycie. Bodaj każdy z członków naszej delegacji czytał przeciw pisma Lenina, a na pewno każdy zna — pobieżnie czy gruntownie — historię Rewolucji i WKP(b). A jednak było coś urzekającego w tych poślizniętych kartkach, postrzępionych tomach, dokumentach, przedmiotach codziennego użytku, fotografiach, które naocześnie ujawniają wytrwałe, uparte dążenie jednej woli ludzkiej w jednym, niezmiennym kierunku. Dłoń gimnazjalisty, która na tytułowej kartce Thiersa „Historii Rewolucji” nakreśliła sygnaturę „Włodzimierz Uljanow”, w kilkanaście lat później opatrzy szycerzom komentarzem artykuł Struwego. Ta sama dłoń — znowu po kilku latach — zanotuje na świstku ironiczne zdanie pod adresem Martowa, w czasie słynnej dyskusji nad definicją członka partii. W gablotach leżą broszury, numery „Iskry” i „Prawdy”, śpiesznie pisane instrukcje i rozkazy, na ścianach wiszą dziesiątki fotografii: ludzie w ubraniach zesłańców, twarze przyklepione do krat, rewolucjoniści w mundurach wojskowych, bolszewicy w robotniczych czapkach i inni — w surdutach inteligentów. Młodzieńcza twarz Stalina, z kruczą grzywą włosów opadającą na skroń. Pokój w Smolnym, podobny do polowego biwaku. Gabinet pracy, przeniesiony tu jakby żywcem z Kremla. Płaszcz, który miał na sobie w dniu zamachu Fanny Kapłan. Ten płaszcz uszyty jest z taniego sukna i wyarty na lokciach.

Młodzi mężczyźni, oprowadzający po Muzeum, potrafią nadawać eksponatom, umieszczonym w gablotach, żywą historyczną treść. Wiem, że mały chłopiec rozpłaszczający nosok o szybę, za którą widnieją zapisana ołówkiem kartka, rozumiał, dlaczego Włodzimierz Iljcz sztydził z mieniszewików i nie chciał się zgodzić na ich definicję członka partii, albo dlaczego występował przeciwko teorii „żywiowości”. W tym muzeum rozumie się wiele rzeczy. Myślę, że niejednego mógłby się tutaj nauczyć poważny, dorosły człowiek. Pokazano w nim kawał ludzkiego życia w uporczywej walce, przedstawiono w sposób widzialny trudną drogę, jaką wola i umysł jednego człowieka przerabają dla ideologii klasy.

W niewielkim miasteczku położonym w rejonie Woroszyłowgradu odbywa się ewakuacja ludności. Jest rok 1941. Za parę godzin wkroczą Niemcy. Tutejszy sekretarz Partii wydaje ostatnie instrukcje tym, którzy zostają. Potem — ciężkie przygnę-

biające dni, pierwsze dni okupacji. Garść młodzi, pozostała w mieście, niepostrzeżenie organizuje się do oporu. Dalszy ciąg wydarzeń — to autentyczna historia narodzin i działalności oddolnej, spontanicznej organizacji młodych bolszewików walczących z okupantem. „Młoda Gwardia” uzyskuje formalne zatwierdzenie ze strony Partii — ale jej założyciele giną. Film kończy się przemówieniem sekretarza nad ich mogiłami. Niemców już nie ma. „Śmierć waszych dzieci” — zwraca się przedstawiciel Partii do okrytych żałobą matek — „nie była daremna”.

Powieść Fiediejewa, z której powstał film, rozeszła się w 6 milionach egzemplarzy. Film oglądało zapewne tyleż ludzi. Jak należy ocenić tę powieść i film z punktu widzenia czysto artystycznego — nie wydaje mi się sprawą zasadniczą. Obydwa zjawiska wywierają wpływ wychowawczy. Jego głębokość i zasięg przewyższa wielokrotnie wszystko, co gdziekolwiek indziej może się dziś dokonać za pomocą sztuki. Socjalistyczny realizm jest realizmem społeczeństwa socjalistycznego. Dlatego przypuszczam, że „Młoda Gwardia” inaczej odczuje mieszczkański widz na Zachodzie, inaczej robotniczy widz w ZSRR. Tamtejsza publiczność wie, że scenariusz opiera się na prawdziwych faktach i przedstawia autentyczne postacie, że — co najważniejsze — wyrasta z prawdziwej rzeczywistości ideologicznej. To co w tym filmie mieszczkański widz nazwie patetyczną retoryką, w wyobraźni komsomolca z Zagłębia Donieckiego pokrywa się z pojęciami o socjalistycznym człowieku. „Młoda Gwardia” jest utworem, który stawia surowe, bezwzględne wymagania i warunki. Pokazuje najwyższy stopień czystości moralnej, miłości ojczyzny i dyscypliny ideologicznej. Te trzy obszary wewnętrzne są tam nierozdzielne: stanowią potrójny aspekt jednolitej spójni duchowej, która stanowi o człowieku. „Młoda Gwardia” ogląda nie tylko mieszkaniec Moskwy. Widzieli ją miliony Uzbeków i Tadżyków, kolchoźników ukraińskich i turkmeńskich, drwali podurskich, ludzi z nad Bajkału, Oki i Włogi. Sekretarz Partii miał słusznego: życie i śmierć chłopców z „Młodej Gwardii” nie poszły na marne — dydaktyka socjalistyczna wykuwa z nich monumentalny wzorzec dla teraźniejszych i przyszłych pokoleń.

Ostatniego wieczoru zśliśmy ulicą Gorkiego. Jest to dawna ulica Twerska, przecięta przez liczne „piereulki”, Twerska, którą każdy z nas dobrze pamięta: tedy przecież chodzili bohaterzy rosyjskich powieści. Moskwa jest jedną ze stolic wielkiej literatury. Kto wie, czy obok Paryża, nie najpiękniejszą. Sprzedawca cukierków wskaże wam park, w którym sliżgała się Kitty Szczerbacka w dniu kiedy Konstanty Lewin przyjechał prosić ją o rękę; stragan z pieczywem stoi naprzeciw domu, w którym przyszedł na świat młody Rostow; jeśli udacie się do polskiej ambasady, samochód przewiezie was obok cerkwi, w której brał ślub Puszkyn, i minie niewielką uliczkę, gdzie niedawno „Onegina” spotykał twórcę „Dziadów”.

Na ulicy Gorkiego jarzą się ogromne wystawy „Uniwersmagów” i „Gastronomów”. Taki sam tłok panuje w sklepie z futrami, jak i w sąsiednim gdzie gromadka pensjonarek kupuje soczyste granaty, jak wreszcie w następnym, gdzie jeden z naszych przodowników pracy nabył wielką, moskiewską lalkę dla swojej córeczki. To siedmiomilionowe miasto, w którym na tamśmiej Zakładów Samochodowych Stalina co kilka minut przesuwa się nowy, lśniący „Zis”, w którym nocą pracuje gigantyczny kombinat „Prawdy”, miasto w którym nie ma prostytutek ani żebraków — to miasto potrafi być wesołe. Nigdzie indziej nie widziałem tylu dzieci. Nie są to zwykłe dzieci, jakie w Paryżu bawią się nad sadzawką w Tuileriach lub w Parku Monceau. Robotnicze dzieci paryskie spotkanie w Levallois albo w okolicy stacji Picpus, jeśli zechce się wam wędrować tak daleko. Do dzieci robotników moskiewskich należą najładniejsze ulice miasta, najbardziej rozległe place, teatry i kina.

Tłumy zalewają ulicę Gorkiego, płaczące sygnały aut błagają o przejście. Naza jutrz mamy lecieć do Warszawy. Byłem tu 7 dni, a mam wrażenie, że jestem od 7 miesięcy. Nic mnie nie dziwi w tym mieście harmonijnych sprzeczności, gdzie Uspienski Sobór dźwiga swoje kopuły pod tym samym niebem, do którego sięga granista bryła dawnego „Sownarkomu”, które przesywa dymiący komin kombinatu. 12-ty listopada, mróz, skrzące chodniki, futrzane czapki. Dobry to mróz. W 1941 i 42 nazywaliśmy go generałem. Pomógł ludziom moskiewskim obronić swoje miasto. Idziemy po raz ostatni spojrzeć na Kreml.

Kazimierz Brandys



## PIĘCDZIESIĘCIOLECIE TWÓRCZOŚCI LEOPOLDA STAFFA

LEOPOLD STAFF

K O W A L

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,  
Którą zaległy piersi mej głąb nieodgadła,  
Jak wulkan z swych otchłani wyrzucam bezdennych  
I ciskam ją na twarde, stalowe kowadło.

Grzotem młota w nią walę w radosnej otusze,  
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,  
Bo z tych kruszców dla ciebie serce wykuć muszę,  
Serce hartowne, męzne, serce dumne, silne.

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młotą żelazem,  
Gdy pęknie, przeciw ciosom stali nieodporne:  
W pył cię rozbiją płęci mej gromy potworne!

Bo lepiej gin' zmiażdżone cyklopowym razem,  
Nizbys' żyć miało własną słabością przekłętą,  
Rysą chorej niemoocy skażone, pękniętą.

## GNIEW SPRAWIEDLIWY

O, bracie robotniku, z młotem i w fartuchu!  
Wulkanem są warsztaty i kopalnie ciemne.  
Gniotące jarzmo pracy i złoto nikczemne  
Brzemieniem na twej myśli leżały i duchu.

Lecz dusza twa u słońca była na podstuchu  
I zaraźliwe światło wniósła w twe podziemie  
Nory, i rozpełtała twe dłonie najemne...  
Zbledli, którzy trzymali ciebie na łańcuchu!

Ramię twoje, nabrzmiałe siłą w żarach hucisk,  
Wzniesł i sądził krwi wyrzekiem niewole i ucisk,  
I tych, co gnuśność swoją tuczylili twym potem.

Za dłoń chwytają ciebie i uściskiem bratnim  
Zwą uścisk ten. Wiedz! Dzierżą ją skurczem ostatnim  
Strachu, widząc, że groźnym uzbrojona młotem!

## KARTOFLISKO

Pod niebem, co jesiennym siąpi kapuśniakiem,  
Na sejm zlatują wrony w żalobnym zespole  
I z krzykiem krążą nisko nad kobiet orszakiem  
Rozpinając swych skrzydeł czarne parasole.

A robotnice w twardym, cierpliwym mozołcu,  
Okryte — każda innym — barwistym welniakiem  
Dziobią pilnie motyka ziemniaczane pole,  
W miękkiej ziemi stopami zaparte okrzakiem.

Pośród mgły i szarugi, przemokłe do nitki,  
Grudy grzęd rozgniatają schyłone najmitki  
I spód zaschłych badyli i płytkich korzeni

Zbierają krągłe bulwy, jak jaja spod kwoki,  
I rzucają je w wiadro lub ceber głęboki,  
Co głucho grzmiały jak bębny na odmarsz jesieni

MIECZYŚLAW JASTRUN

## „Żem widział rzeczy, których tu nie widział żaden człowiek“

W IERSZE wybitnych poetów drukowane są nie tylko w ich książkach, zapisane są pismem indywidualnym w sercach współczesnych i potomnych. Historia poety wiąże się niewidzialnymi ściegami z historią jego czytelników. Każdy z nas ma zapisaną w sobie kartę, która w swoisty sposób zanotowała wzruszenia i myśli poety w ciągu lat obcowania z jego sztuką, obcowania często dorywczego, kronikę zachwyty, rozczarowań i powrotów.

Tak ja również, myśląc o poezji Staffa, nie potrafię oddzielić go zupełnie od siebie, od różnych okresów, w których czytałem go, odrzucałem, by znowu powrócić do przelotnej choćby lektury jego wierszy.

Pamiętam, jak przyjmowałem je w późnym dzieciństwie, we wczesnej młodości, w czasie, gdy sam próbowałem pisać, i w latach następnych. Piszę o tym, nie by przypomnieć dawnego siebie, lecz by odczytać ową niewidzialną kronikę, którą zapisuje dzieło poety w świadomości jednego ze współczesnych.

Kiedy w młodości odczytywałem wiersze Staffa, nigdy przez te wiersze i parę fotografii poety nie wyobrażałem sobie — żywego Staffa, człowieka. Nie śmiałem marzyć nawet, bym mógł kiedyś z nim mówić, z nim, który powiedział o sobie:

A jednak poznam, gdy śmierć do snu  
Gasić mi będzie blask powiek,  
Żem widział rzeczy, których tu  
Nie widział żaden człowiek.

Miałem wielki kult dla poetów, wyniesiony z domu rodzicielskiego. I ten kult przeszkodził mi potem nie raz w zbliżeniu do któregośkolwiek ze sławnych poetów, choć zdarzały się okazje.

Był w tym — być może — lęk przed zbyt gwałtownym zetknięciem dwóch biegunów tej samej rzeczywistości.

Poznałem osobiście Staffa późno, bo dopiero w początkach bieżącego roku. Nie sądzę, że popełniam niedyskrecję, opowiadając o tej wizycie. Byłem wzruszony, jak zawsze gdy przyjeżdżam do Krakowa, miasta jedynego w świecie. Miałem wiele spraw do załatwienia. Chciałem potem w ostatnim dniu niedługiego pobytu w tym mieście odwiedzić Wawel, z którym łączy mnie dużo prywatnych wspomnień, ale otrzymawszy dzięki pani Janinie Mortkowiczowej adres Leopolda Staffa zrezygnowałem z pójścia na Wawel — i poszedłem do Staffa, na ulicę Szopena. Życie potoczne nie znosi uroczystego tonu i szlachetnej przesady, związanej z każdą sztuką. Poeci w codziennym obcowaniu bywają zazwyczaj naturalni i prości, może bardziej naturalni od innych ludzi pracy. Prostota Staffa, jego żywość prawie młodzieńcza przy powadze wieku i zasługi uderzyła mnie szczególnie. Oczywiście, nie mówiłem o tym, co myślałem i czułem czytając kiedykolwiek jego wiersze. W czasie wojny — mówił Staff z dobrym uśmiechem, popartym uważnym spojrzeniem ciemnych oczu — zaginęły różne moje prace, był tam także essay o wierszach Pana. W tej chwili, wśród potocznej, rozmowy nie poczułem się nawet zaszczycony tym niezwykłym wyróżnieniem — i nie powie-

działem Poezie nic z tego, co może należało powiedzieć. Zaraz potem z sympatią mówił arcy mistrz o najmłodszych poetach polskich, o Różewiczu zwłaszcza. I za chwilę naturalnym obrotem mowy wzmiankując o tym i owym, wspomnieli Staffa pobyt swój w Paryżu przed pierwszą wojną, wspomnieli Montmartre, wspomnieli Apollinaire'a i śmiejąc się opowiadał o nieprawdopodobnym zarloczowie poety francuskiego. Skromne nad wyraz, ubogie mieszkanko poety zabłysło nagle od tych wspomnień, doświadczeń bogatego życia:

Żem widział rzeczy, których tu  
Nie widział żaden człowiek...

Kiedy później żegnając się wręczałem Staffowi tomik wybranych przeze mnie poezji Norwida, poczułem zadowolenie, że mogę mu osobiście ofiarować nie własne wiersze, lecz poezje jednego z największych poetów naszych i w ten godniejszy sposób zadokumentować szacunek swój i podziw dla Leopolda Staffa.

Leopold Staff, największy z żyjących poetów polskich, jest dla nas dzisiaj widomym znakiem związków między poezją współczesną i poezją lat ubiegłych.

Jak bodaj żaden inny z naszych poetów, stał u narodzin kilku pokoleń literackich, dla których był autorytetem, jeśli nie patronem. Fakt ten wytłumaczyć można jedynie właściwościami jego sztuki poetyckiej, która jest wielowarstwowa i niezupełnie jednolita. Staff wyszedł z okresu Młodej Polski i pewne znamiona poetyki

tego ruchu literackiego możemy odnaleźć w różnym nasileniu we wszystkich tomach jego wierszy. Dzieli jednak Staffa od jego rówieśników inny stosunek do życia, postawa pełna pogodnej mądrości, umiarkowanego optymizmu, tak różnego od melancholii i rozpaczliwych wierszy Stanisława Korab-Brzozowskiego czy Tetmajera. W przeciwieństwie do poetów Młodej Polski Staff głosi pochwałę życia, mimo że „zna gorzyc i zawody, ból i troskę”. Poezja jego nie rezygnuje nigdy z walki o piękne i pogodne życie. Kiedy ukazały się „Sny — potędze”, pierwszy tom wierszy Staffa, wierszy od razu dojrzałych, wolnych od hiperboliki młodzieńczej, książka ta na tle ówczesnej twórczości poetyckiej, na tle chaosu formy i bezładu treści była zjawiskiem nowym i uderzającym doskonałością. Były to wprawdzie tylko sny o potędze, lecz wśród pokolenia inteligencji, o którym powiedział Wyspiański:

Czy my mamy jakie prawo żyć,  
My motyle i świerszcze w niewolę?!

świadczyły one o woli przeciwstawienia się modnym wówczas i panującym nastrojom, które słabość i rezygnację podnosiły do niejako obowiązującego kanonu odczuwania.

Walka z poetyką modernistyczną zaprowadziła Staffa do klasycyzmu. Sonet „Curriculum vitae” jest może najpełniejszym i najbardziej syntetycznym wyrazem tych tendencji. Cykl: „Śladem stopy antycznej” i przekład „Elegii rzymskich” Goethego uzupełniają ten utwór i komentują w sposób szczególnie dobitny.



Leopold Staff  
rys. Jadwiga Umińska

## CURRICULUM VITAE

Dzieciństwa mego błady, niezaradny kwiat  
Oslaniający pieszczące, cieplarniane cienie.  
Nieśmiało i lekliwie było me spojrzenie  
I stawiając krok cudzych czeptałem się szat.

Młodość ma pierwsze skrzydła swe wysłała w świat.  
Kiedy nad wiosnę miłsze zdały się jesienie.  
Więc kochałem milczenie, wspomnienie, westchnienie  
I plotłem chmurem wieńce z swych kwietniowych łąk.

Dopiero od posagów, od drzew i od trawy,  
Z którymi żyłem długo, wśród dalekich dróg,  
Nauczyłem się prostej, pogodnej postawy.

I kiedym, stary smutku dom zburzywszy w gruzy,  
Uczynił z siebie jeno wschodom słońca próg,  
Rozumie mnie me serce i kochają Muzy.

## DZIECIŃSTWO

Poezja starych studni, zepsutych zegarów,  
Strychu i niemych skrzypiec pękniętych bez grajka  
Złótkła księga, gdzie uschła niezapominajka  
Drzemie — były dzieciństwu memu lasem czarów...

Zbierałem zardzewiałe, stare klucze... Bajka  
Szepiała mi, że klucz jest dziwnym darem darów,  
Że otworzy mi zamki skryte w tajny parów,  
Gdzie wejść — błady książę z obrazu Van Dycka

Motyłem potem zbierał, magicznej latarki  
Cuda wywlekałem na scennej tapecie  
I gromadziłem długi czas pocztowe marki...

Bo było to jak podróż szalona po świecie,  
Pełne przygód odjazdy w wszystkie światła części...  
Sen słodki, niedorzeczny, jak szczęście... jak szczęście...

## ODKRYWCA ZŁOTYCH ŚWIATÓW

Pamięci Pawła Verlaine'a

Z duszą dobrą jak zboże, dziecinna jak kwiaty,  
Żył poeta, bezdomny ptak nieoswojony...  
Kochał miłość, ocean i odjazdów dzwony,  
I tęsknił w złote światy, w nieodkryte światy...

Był czysty, choć nawiedzony złych trunków nalogiem  
Wiele przewinił... Spłacił losów nieprzyjaźni  
Dług — latami szpitala i więziennej kaźni,  
Skąd wyszedł pojednany z złoczynią i z Bogiem.

Aż postarzał się... Tęskniąc jako łódź w przystani,  
Począł malować w izbie swej pyłem pozłótki  
Drzwi, łóżko, krzesło, w którym na pieśń zmieniał smutki,  
Okno i papierową umbrę lampy taniej...

I znalazł świat swój złoty — dziecinny odkrywca.  
W okolicy izby swojej płynął snów głębią...  
Fala marzeń wśród złotych wysp niosło szczęśliwca  
Kolyszące jak morze, dobroczynne wino...

## NIC MI, ŚWIECIE...

Nic mi, świecie, piękności twej zmącić niezdolne!  
Błogosławione, które wydało mnie, plemie,  
Patrzę na gwiazdy górne i na kwiaty polne  
I w oczach swych — jednoczę i niebo, i ziemię.

Choć danys' mi jest jeno na krótki ciąg godzin,  
Cień śmierci mojej duszy nie straszny weselnej,  
Przez wieczność już nie było mnie przed dniem narodzin,  
A mędrzec dawno uczył mnie, żem jest śmiertelny.

## DAWID Z PROCA

(z Michała Anioła)

Dawid z proca  
i ja z lukiem...  
Michał Anioł...

Runęła wzniosła kolumna.

Wezwany tonącego w wieczornej niemocy  
serca potrzeba,  
Sen bratni bierze w uścisk i w czoło całuje  
tych, co się trwożą.

A w górze milczy letniej bezgwiazdzistej nocy —  
spokojne niebo,  
Którego się nie widzi, lecz które się czuje  
jak rękę bożą.



Klasycyzm Staffa żywi się zarówno poetami francuskimi XVI i XVII wieku, których autor „Gałęzi kwitnącej” tłumaczy, jak i rygorami klasycznej poetyki Moreasa. „Olimpijskość” Staffa nie obywa się, być może, również bez wpływu Goethego. Architektura Rzymu, Wenecji, Florencji, posagi antyczne, rzeźby Michała Anioła i malarstwo renesansowe mieszają się w jego wierszach z pejzażem polskim. Tworzą tu one zespoły harmonijne, podobnie jak echa antyczne z motywami rodzinnymi w poezji Kochanowskiego, na którego Staff powołuje się niejednokrotnie, i ma do tego większe niż ktokolwiek inny prawo. Już Nozowid marzył o „rzeczach czarnoleskiej”, która dla poetów okresu niewoli, symbolizowała poezję pełną szczęścia, pogodnej mądrości i równowagi ducha, ale bodaj tylko Staff jeden nie wdycha do tej ziemi obiecanej, z drugiego brzegu, któremu na imię — rozpacz.

Jeśliby ułożyć antologię wierszy Leopolda Staffa, nie w porządku wydawanych tomów, lecz pod kątem dialektyki stylów, w wyborze takim byłyby rzeczy godne Verlaine'a, kojące jak pogoda wielkich dni lata. Staff skupił w swoich utworach wszystkie niemal, odcienie w epoce rozbięcia form i rodzajów sztuki poetyckiej.

Poezja Staffa nie wstrząsa nigdy, jest równa, spokojna, przypomina często porę dzieciństwa, dlatego, że jej serio jest — czujemy to — umowne. Bodaj Irzykowski określił pierwszy Staffa jako mistrza przebrań, reżysera stanów, które sam przeczuwa, lecz których w pełni nie podziela. „Jeśli bolesne są już doświadczenia, jakże straszną prawdą być musi” — wyznaje poeta w jednym ze swoich „nowidowskich” wierszy. Do tej prawdy Staff dotrzeć nie pragnie, jeśli zdobywa ją, to raczej mimochodem. Jest mistrzem stylizacji. Jest w lirycie swej dramatyczny, wydzielając z siebie różne kreacje, obdarza je tylko częścią swoich doświadczeń. Jeśli „Prawdę i zmyślenie” Goethego w tym duchu interpretować, twórczość Staffa cała jest pięknym zmyśleniem. Dlatego, mimo że ta poezja bynajmniej nie jest tylko grą apollińską, że wielka problematyka humanistyczna nie była jej obca, trudno mówić o głębokim nurcie humanistycznym liryki Staffa.

Staff w o wiele wyższym stopniu, niż na przykład Leśmian wiąże swoje wiersze z problematyką człowieka, brak mu jednak namiętności, tej namiętności, która żywi i przenika każdy utwór Mickiewicza.

Staff wierzy w piękno ponadczasowe, i wiarę tę dzieli z pisarzami okresu, z którego wyszedł. Staff wierzy w siłę moralną piękna, w wartość jego wychowawczą, podobnie jak Fryderyk Schiller, który „estetycznemu wychowaniu człowieka” przypisywał znaczenie nie mniejsze niż ojciec wszystkich utopii wychowawczych Rousseau — edukacji naturalnej.

Gsz przyrody i sztuka,  
w zbożnym chłonięciu zdumienia  
W ziemi cudów, odpowiedź  
Dały nam, każąc wyznawać  
Piękno, co jest nadmiarem,  
bo darząc pełnią upojną  
Trwa niezmiennie — choć stare  
nie starzeją się nigdy..

Dusze stawały się piękne  
jak róże na Pałatyńie,  
Splywają po rdzawych  
murach żyjącą kaskadą,  
Spała w milczeniu Kampania  
umarła, lecz nieśmiertelna.

Ale Staff wie, że piękno doskonałe jest tylko kamieniem. Dlatego w tej olimpijskiej twórczości jest walka podziemna, zakryta przed oczami czytelnika. Zdaje się, że Staff przyjąłby określenie Stendhala, widzącego w pięknie jedynie obietnicę szczęścia:

„Jest tyle gatunków piękna, ile jest sposobów poszukiwania szczęścia”.

Tę obietnicę szczęścia łagodnego i sielskiego przynoszą niektóre wiersze Staffa:

Między plesnią przerwana a zbudzonym  
echem,  
Fałą i nagą stopą, co wnet się zanurzy,  
Przyjściem listu i zdjęciem pieczęci z  
pospiechem,  
Pomiędzy zaproszeniem i rankiem podróży,  
Między wzniesioną dłońią a owocem drzew  
Śpi szczęście..

W tej strofie jest cały Staff — najlepszy i najładniejszy. Ale nie tylko w wierszach, które są obietnicą szczęścia, daje

nam poeta przedsmak pięknego życia. Smutne wiersze Staffa nie przygnębiają nigdy, smutek ich bowiem jest opanowany, oczyszczony z łez, nawet wtedy gdy poeta mówi o łzach i przemijaniu wszystkiego. Ileż na przykład jest uroku, powieździeliśmy, radosnego w tym smutnym wspomnieniu, w którym nawet utarte zwroty i przenośnie, co dawno już wyszły z obiegu, grają po dziś dzień blaskiem prawdziwym i wyłamującym się ze staroświeckiej konwencji.

W moim sercu róż kwitną kielichy,  
Bielsze niżli na muraw kobiercu.  
Wystarli w nim w ranek ów cichy.  
Gdyś złożyła swą skroń na mym sercu.

W cichym sercu mym śpiewa ptak złoty,  
A przyleciał w me piersi bezdomny,  
Gdyś szeptała mi słowa tęsknoty,  
Których nigdy już tu nie zapomnę.

W moim sercu rój pszczół gra pasieczny,  
Miód ich słodszy, niż złotych win trunku.  
Obudzili się w ranek słoneczny  
Kiedym uczul twych ust pocałunek.

W moim sercu wodotrysk brzmi senny  
Który gorzkie i ciężkie lzy płacze,  
A wytrysnął w ten wieczór jesienny,  
Odkąd wiem, że cię już nie zobaczę.

W tym świecie przemijania, smutku i powracającej pociechy, liryzm Staffa znajduje najobfitszy pokarm. Staff usiłuje izolować swoją poezję od wielkich wstrząsów dziejowych. Mówiono o nim, że „koresponduje z wiecznością”. Określenie to, zawierające w sobie mimowolny zarzut akademickości i parnasizmu, przetłumaczone na język bardziej ścisły oznacza po prostu niechęć poety do zajęcia w poezji określonego stanowiska wobec faktów historii. Brzozowski już wyczuwał, że Staff „nie zajmuje żadnego stanowiska, a raczej czyni stanowisko swoje właśnie z tego powstrzymania decyzji, wyboru...” Ten absenteizm Staffa nie jest wyłącznie jamu właściwy, większość poetów współczesnych mu, usiłowała uciec przed chaosem świata kapitalistycznego w kraj marzenia. Nie ma jednak ucieczki spod nacisku praw rządzących społeczeństwem, klasą, narodem. Liryka Staffa wyraża w bardziej lub mniej określony sposób psychikę warstwy społecznej, z której wyłuska. Staff jest bodaj pierwszym poetą mieszczaństwa polskiego, które przeżyło

już w epoce pozytywizmu bojowy okres swego rozwoju.

W niektórych wierszach Staffa odnajdujemy odbłaski wypadków historycznych, których był świadkiem, wiersze te jednak nie mają wagi i siły utworów jego o treści indywidualistycznej. Jego instrumenty nie chwytają zbyt gwałtownych podmuchów. Jego wyobraźnia nastawiona jest na piękno „powszechne”, niezależne od chwili:

„Choćby nie wiedzieć jak wielkie było nasze uwielbienie dla piękna powszechnego, wyrażonego przez poetów i artystów klasycznych — powiedział Baudelaire — błądzimy, lekceważąc piękno szczególne, piękno okolicznościowe, wyrażające życie obyczajowe epoki”.

Rysy epoki są u Staffa widoczne poprzez zasłonę owego piękna powszechnego, przymglone, nie na tyle jednak, by nie można ich było odczytać.

Staff zachował po dziś dzień rzadką u poetów naszych żywotność, wierność sztuce pisarskiej, zdolność odczuwania piękna, gdziekolwiek i w jakimkolwiek kształcie pojawia się ono z każdym nowym pokoleniem. W wydanej w r. 1946 „Martwej pogodzie” znajdujemy garść utworów w nowym tonie. Nie opuszcza Staffa i w tej książce zdolność jasnego widzenia, racjonalistyczna metoda budowania wierszy, spokrewniająca go z tym nurtem poezji polskiej, który początek bierze w strofach Kochanowskiego i nie ginie nawet w okresie romantycznym.

\*

Więc jak się wielkie poematy pisze?  
Nie kometami szastając po niebie —

Nie ma recepty na wielkie poematy. Każda epoka inaczej pojmuje cele sztuki pisania. Aby podążać z życiem, aby życie wyprzedzić, odrzuca to, co było przed nią.

Indywidualista wyznawał dumnie, że „widział rzeczy, których tu nie widział żaden człowiek” i nie dbał o to, czy zobaczą je również czytelnicy, szerokie zese narodu. Poezja naszych czasów wie na pewno, że wielkich poematów nie pisze się szastając kometami po niebie, lecz w zgodzie z prawdą ludzką i dialektyką historii.

Mieczysław Jastrun

JAN REYCHMAN

## Dwie rewolucje i dwie rocznice

I.

KOŃCACY się rok 1948 przebiegł w całej demokratycznej Europie pod znakiem jubileuszu Wiosny Ludów. Świętowano go na południu od Tatr i nad Dunajem. W marcu tego roku obchodzono stulecie rewolucji węgierskiej. A w maju Słowacja świętowała sto lat od tak zwanych nitrzańskich względnie święto mikulaskich manifestacji, w 1848 r., na których pierwszy raz sformułowano polityczne i społeczne postulaty narodu słowackiego.

Zbieżność tych dwóch uroczystości mogła się wydawać dziwna, może nawet paradoksalna. Przecież były one napozór przeciwstawne. Słowacki odruch polityczny w 1848 r. stał w przeciwieństwie do rewolucji wybuchłej w Peszcie, cieszył się poparciem absolutystycznego Wiednia, był więc w obozie przeciwnym do całego ówczesnego łańcucha rewolucyj i zasłużył na ostre słowa potępienia ze strony Engelsa.

Jakże więc obecnie obie te rocznice mogą być zbieżnie obchodzone w dwóch krajach rządzonych obecnie przez lud, obu maszerujących obecnie w tym samym marszu ku socjalizmowi? A przecież w jubileuszu słowackich porywów sprzed stu lat zabierali głos tak znani działacze i przywódcy jak minister spraw zagranicznych Czechosłowacji Clementis, jak przewodniczący Słowackiej Rady Pełnomocników Husák, jak znany poeta Novomesky.

Aby zrozumieć tę pozorną sprzeczność musimy cofnąć się o sto lat, zdać sobie sprawę z układu stosunków społeczno-ekonomicznych na terenie naddunajskim i sił, które poruszały tymi odruchami rewolucyjnymi na Węgrzech i Słowacji w pamiętnym roku 1848.

II.

Rewolucja węgierska z 1848 r. była przede wszystkim rewolucją drobnej węgierskiej szlachty, która dążyła do obalenia instytucji feudalnych, stojących na przeszkodzie ewolucji kraju w kierunku kapitalizmu.



Ludwik Kossuth  
przywódca rewolucji węgierskiej w 1848 r.



Józef Mirosław Aurban  
przywódca słowackiego ruchu narodowego w 1848 r.

Wstępująca w okres kapitalizmu drobna szlachta była więc zainteresowana w ewolucji kraju w kierunku demokracji burżuazyjnej, w zniesieniu urzędów feudalnych była więc czynnikiem postępowym, rewolucyjnym. Rewolucja węgierska była ogniewem tego samego wielkiego porywu, jak rewolucja w Paryżu czy Wiedniu, we Włoszech czy w Poznańskim. Jako taka chlubnie zajmuje miejsce w dziejach postępu demokracji i ten jej charakter rewolucyjny był zawsze wysoko ceniony przez wszystkich myślicieli i pisarzy rewolucyjnych od Marksa i Engelsa do Lenina i Stalina.

Ale rewolucja węgierska obok blasków miała i swe cienie. Albowiem układ społecznych i narodowych nie był bynaj-

miej na Węgrzech taki prosty. Była wielka arystokracja paktująca po części z Wiedniem, była szlachta liberalna, która podniosła sztandar rewolucji i byli chłopci pańszczyźniani, niewolnicy. Byli Węgrzy i byli Rumuni, Słowacy czy Serbowie. Szlachta przeprowadziła uwolnienie chłopca z pańszczyzny, ale nie dała mu ziemi i 60% chłopstwa pozostało bez ziemi; nie otrzymali też chłopcy łąk ani pastwisk, które właściciele majątku zagarnęli od gmin. Nic dziwnego, że byli odruchy niezadowolenia na wsi, że masa chłopstwa była nieraz obojętna na sprawę narodową, że naprzeciw trybuna ludu, pierwszy bojownik o prawa chłopstwa węgierskiego Michał Tancsics w parlamencie wskazywał na potrze-

bę sprawiedliwego uwzględnienia słusznych postulatów szerokich mas ludowych.

Obok objawów tego egoizmu klasowego nie brak było w rewolucji węgierskiej równych objawów egoizmu narodowego. Okres reform poprzedzający na Węgrzech rewolucję 1848 roku stał pod znakiem silnego nacisku madyaryzacyjnego na nie-węgierskie narodowości. Wiązało się to i z kwestią chłopską na terenach mieszańskich. Narodowo szlachta była w większości węgierska, chłop był Słowakiem, Rumunem czy Serbem. Na tych terenach szlachta często sabotowała reformy 1848 roku, zrażając tym chłopstwo do rewolucji. W łonie rządu węgierskiego brak było zrozumienia dla potrzeb narodowości, nie rozumiano, że naród, który sam dąży do wolności nie może ciemnieć drugiego narodu, że wolność jest niepodzielna, wolność polityczna nie może być oddzielona od wolności społecznej, czy od równości narodowej. Odstąpienie od tych zasad pociągać musiało za sobą konflikt wewnętrzny, ten konflikt, który tak tragicznie zaciążył nad rewolucją węgierską. Gdy już w przededniu upadku powstania parlament węgierski uchwalał w Szegedzie prawa dla narodowości, było już zapóźno.

III.

Gdy Słowacy wysunęli wiosną 1848 r. swe pierwsze nieśmiałe żądania, były to żądania antyfeudalne, demokratyczne i postępowe. Żądali zniesienia pańszczyzny, powszechnego prawa wyborczego, wolności prasy. Były to żądania stawiane przez Słowaków już od 1847 r., pierwszy raz bowiem żądania zniesienia pańszczyzny i poddaństwa chłopca wysunął przywódca słowacki Ludewit Stur, poseł ze Zwolenia na sejmie preszburkim jeszcze w r. 1847.

Żądania słowackie nie stały więc w sprzeczności z programem liberalnej szlachty w Budapeszcie. Były więc też tak samo echem tych samych wstrząsów rewolucyjnych, które poruszały tłumami na ulicach Paryża czy Wiednia. Ale żądania te miały i swój aspekt narodowy. Słowacy



wysunęli żądanie swobód narodowych, praw języka słowackiego zagrożonych przez postęp madziaryzacji. I tutaj, w terenie, szlachta węgierska okazała się oporna względem tych praw narodowych Słowaków, tak samo jak bywała oporna względem przyznania praw społecznych dla tych samych Słowaków, jako chłopów, czy rzemieślników.

I to szowinistyczne stanowisko szlachty węgierskiej pchnęło Słowaków w objęcia Wiednia. Był to błąd, z którego zdajemy sobie sprawę, ale z którego nie zdawali sobie sprawy mało politycznie wyrobieni przywódcy Słowaków sprzed stu laty. Sądzili, że można wywalczyć wolność na bagnatach żołdaków austriackich, że w ramach jakiejś absolutystycznej, reakcyjnej Austrii może być możliwa wolność narodowa. Poszli więc do walki przeciw Węgrom, walcząc o tron Habsburgów, a ludząc się że walczą o swoją wolność. Doszło do tragicznego konfliktu, gdy naprzeciw bojownikom o wolność Węgry wyszły uzbrojone przez Wiedeń oddziały słowackie. Poszły — i nie wywalczyły nic. Albowiem po stłumieniu rewolucji węgierskiej, Słowacy znaleźli się pod tym samym reakcyjnym i absolutnym reżimem co Węgrzy czy Polacy. Wtedy przywódcy słowaccy przejrzyli swój błąd, wtedy zrozumieli gorzką prawdę o niepodzielności sprawy wolności i postępu.

## IV.

Przeszło sto lat. Układ stosunków społeczno-gospodarczych i politycznych na południe od łuku Karpat, zmienił się diametralnie. Na Węgrzech runął faszyzm, obalone zostały resztki feudalizmu i Węgrzy wkroczyli na nową drogę, w której śmiało nawiązują do tradycji Kossutha, Petőfiego i Tánácsa. Proces demokratyzacji Węgier, zatrzymany po klęsce 1849 roku, następnie zahamowany pod rządami faszyzmu mógł teraz swobodnie się rozwinąć po uwolnieniu Węgier. Nowe Węgry nawiązały też do szczytnej tradycji sprzed stu laty. „Wywalczenie niepodległości narodowej i wyzwolenie chłopów, to były cele 1848 r.” — pisał w łamach organu Węgierskiej Partii Pracujących „Szabad Nép” czołowy publicysta tej partii Józef Révai. — „Sto lat temu naród powstał do walki o złamanie 400-letniej obecnej niewoli, o wyzwolenie z kolonialnego wyzysku i rozzerwanie łańcuchów domowego feudalizmu. Pierwszy raz złączyli się dążenia do wyzwolenia spod zewnętrznego wroga z walką z feudalnym wrogiem wewnętrznym. Były i błędy ówczesnych polityków. Ale te błędy nie mogą zasłonić nam podstawowych faktów, że ludzie 1848 roku nie ulegli się podając ryzyka walki, nie cofnęli się, gardzili kompromisem. Cóż mamy zrobić w pamięci 1848 roku, jak nie przede wszystkim męską postawę, oparcie się na porywie zbrojnym, na masach ludowych, świadomą łączność ze sprawą wolności świata? Rewolucyjna postawa, oparcie się na masach ludowych, solidarność z demokratycznymi ludami wiąże rewolucję węgierską sprzed stu laty z obecną przebudową Węgier. Kto mówi „nie” na obecną rzeczywistość Węgier, ten nie może powiedzieć „tak” na rok 1848. Upadek rewolucji 1848 roku spowodował przerwę w rozwoju narodowym Węgier. Przerwanej ciągłości nie nawiązano ani w 1916 ani 1919 r. To, co wtedy się nie udało, to się udało dopiero po drugiej wojnie światowej, cztery lata temu narodzonej demokracji węgierskiej. To jest zasługa przede wszystkim nas, komunistów. My wyciągnęliśmy wnioski z doświadczeń przeszłości. W walce przeciw hitlerowskiemu Niemcom widzieliśmy zaktualizowanie programu 1848 roku. Obecnie trzeba ukończyć dzieło przebudowy zaczęte w 1848 roku. Węgierska demokracja

ludowa w ciągu 4 lat ukończyła dzieło przebudowy burżuazyjno-demokratycznej, przerwane w połowie 1848 roku i poszła dalej w swym rozwoju“.

## V.

Równocześnie i Słowacja przeszła olbrzymie przeobrażenia. Lud słowacki, który jeszcze w 1848 roku mógł być wykorzystywany przez Wiedeń do wbicia noża w plecy rewolucji węgierskiej, znalazł się w r. 1944 po właściwej stronie barykady, powstaniem bańskobystrzyckim dokumentując swój wkład do dzieła postępu i demokracji, swój udział w walce z faszyzmem i dziś śmiało kroczy na drodze do budowania nowej rzeczywistości, realizując tym samym te ideały demokracji i postępu, które pierwszy raz tak nieśmiało, być może na błędnej drodze, ale w dobrej woli sformułowali tamci działacze słowaccy z przed stu laty. Obie strony zdają sobie teraz sprawę ze swych błędów sprzed stu laty, ale i wyciągają z nich należyte wnioski. „Na złą drogę zeszlibyśmy” — pisał w „Szabad Nép” jeden z publicystów marksizmu węgierskiego Oskar Betlen — „gdybyśmy dalej patrzyli na Szturę, (przywódcę Słowaków z 1848 r.) oczyma fałszywej fakty reakcyjnej historiografii i nie wzięli pod uwagę tego, że Sztur stał z początku po stronie postępu i demokracji i byłby naturalnym sprzymierzeńcem węgierskiej rewolucji, gdyby ciasnota poglądów węgierskiej polityki narodowościowej sprzed stu laty nie pchnęła go na stronę reakcji habsburskiej” — „Słowackie powstanie z roku 1848 — 1849 było bezsprzecznie natchnione szturowym demokratycznym duchem” — pisał z kolei w dzienniku komunistycznej partii Słowacji „Pravda” J. Šefranek — „ale nie przez to nie zyskało, ani nie mogło zyskać, że było prowadzone właśnie przeciw powstającym Węgrom pod habsburskimi, cesarskimi sztandarami, że ten antyfeudalny i demokratyczny bój dostał się pod patronat cesarskich feudałów i wrogów demokracji. Do tego przyczyniła się i ta okoliczność, że kierownictwo węgierskiej rewolucji było szowinistyczne, a na postulaty narodowe innych narodów odpowiadało komisarzami, szubienicami i stanem wyjątkowym... Ani niemiecka ani węgierska rewolucja nie uczyniły ani jednego kroku pozytywnego aby pozyskać demokratyczne ruchy słowiańskich narodów dla jednolitego frontu antyfeudalnego“.

Jeśli więc dziś tak na Słowacji, jak i na Węgrzech czołowi przywódcy obu krajów nawiązują tu do rewolucji w Peszcie, tam do Zgromadzeń w Brezowej czy Św. Mikulášu, to nie ma w tym żadnej sprzeczności i żadnego paradoksu. Dzisiejsze ludowe Węgry, dzisiejsza ludowa Słowacja, odrzucając z tamtych odruchów to, co było w nich błędne, nawiązują do tego co było w nich zdrowe, postępowe, twórcze, tak więc i do rewolucyjności, bojowości, umiłowania wolności, idei solidarności ludów walczących o wolność tkwiących w rewolucji peszteńskiej, jak i głębokiego demokratyzmu i ludowego charakteru zgromadzeń słowackich w Nitrze czy Liptowie. Tak Słowacja, jak i Węgry na nowej swej drodze śmiało mogą powiedzieć, że dokonane ostatnio doniosłe przeobrażenia stanowią kontynuację tych wszystkich demokratycznych, postępowych, twórczych zadań z 1848 r., są wyrazem tych dążeń, sił i pierwiastków w przeszłości obu narodów, których wyrazem była tak rewolucja 15 marca 1848 r. w Budapeszcie, jak i zgromadzenie ludowe w Brezowej i Liptowskim Św. Mikulášu. I mogą to powiedzieć właśnie dzisiaj, gdy po przezwyciężeniu błędów przeszłości wspólnie kroczą na nowej drodze ku jasnej przyszłości.

Jan Reyhman

RYSZARD MATUSZEWSKI

## W I E R S Z E \*)



Ryszard Matuszewski

## M E Z Ó H E G Y E S

Czy słyszysz kiedy liści szept,  
co nas wieczorem późnym budzą  
i w wyłaczany wiodą step  
wysokostrzelną kukurudzą?

W chodnika tafle kroków rytm  
coraz to zamieć liści wkłak:  
topoli szpaler — szpaler widm  
i księżycowa biel niezwykła.

I tak aż do dnia — ciszy dzwon:  
parskają tylko konie w stajni,  
i szumisz, myślisz: może klon,  
a może brzoza najwyczejajniej?

A tu tymczasem głóg czy mirt  
i purpurowe, groźne dzwonki,  
powojów balet, bluszczu fiirt,  
— Mariki uśmiech lub Hlonki...

Nie znasz tu zaklęć, nie znasz nazw  
— dlatego pewnie tęsknisz, bledniesz.  
I naco — pytasz — zdarzeń las  
w dalekim, złotem Mezöhegyes?

Trzeba się zabrać, uciec stąd  
w błękit pelznący sinym chabrem,  
gdzie żyta sноп, złocieni krag  
świetlistym plonie kandelabrem.

A tutaj noc, a tutaj cień  
wysokich drzew, omszonych srebrem,  
czeka twych stóp i brzasku lśnienia,  
kiedy powieki senne zewrę.

A tu ten strach, gdy w szklany szloch  
kopule nieba traca świeższe  
i wypłone w srebrny proch  
makiem posypie się powietrze.

1984

## W Ę D R Ó W K A

Okrągłe czołna seków w złotej głębi stoju  
kolyszą się i prują miękkie fale drzewne.  
Lubisz wielkie wędrówki — znasz przeto zapewne  
piękną podróż po ścianach wiejskiego pokoju.

Znasz kąty pod pulapem, zakamarki śpiewne  
gdzie pajęczki niewody szukają postoju.  
Zeglując po mieliznach płaskiego przekroju  
opływasz zdala wiry, brunatne i gniewne.

Postaw świecę na stole. Niech będzie miesiącem  
dla statków koczujących w drzewnym oceanie.  
Nie pytaj o los łodzi — znasz go przed ich końcem

I wiesz, że są złudzeniem. Cokolwiek się stanie  
nie odwracaj już oczu, jeśli w świetle drżącym  
zobaczysz nagle prawdę: własny cień na ścianie.

1984

## S A N D O M I E R Z

Sandomierz — to miasto z wiślanej mgły,  
Wiślany szum je wywabiał z cienia,  
Wiślaną nocą koła statku szły  
Ku miastu z porannej mgły i kamienia.

Sandomierz — to miasto zielonych wzgórz,  
Zielonymi wzgórzami ścieka bryczki turkof,  
W Sandomierzu, miła, zapomniałaś już,  
Morelowe sady w każdym podwórku.

W Sandomierzu wawozem można w górę iść,  
A stacja tak daleko za miastem.  
W Sandomierzu falą pluszcze każdy liść,  
Wiatrem, łożą, srebrem i Zawichostem.

W Sandomierzu, mówisz, żyć nie można: strach.  
Tylu księży chodzi w starej katedrze.  
W Sandomierzu rzeka szumi nawet w snach,  
Každy dzień u okien fała rozewrze.

Ach, uciekać, uciekać, uciekać z mgły,  
Z Sandomierza, z Kazimierza, z każdego miasta!  
Každy dzień u okien, gdzie byłaś ty,  
Wiankiem pian na piasku zarasta.

1983



Grudzień w 1848 r. Węgieńscy honwedzi przechodzą przez most Łańcuchowy

(rysunek nieznanego malarza)

\*) Z przygotowanego do druku tomu wierszy pt. „Brzegi Milczenia”, mającego wkrótce ukazać się nakładem Sp. Wyd. „Książka”.



ANDRZEJ STAWAR

## LITERAT I WIESZCZ (II) \*)

## III.

W ostatecznej instancji te objawy uwsteczniące, gruntowały się w szlacheckim typie kultury. Warunkował on szczególniejsze rozszerzenie kulturalne społeczeństwa.

Mickiewicz w swoich wykładach o literaturze słowiańskiej podkreślał jako główne osiągnięcie odrodzenia literatury w wieku XVIII tak w Polsce, jak i w Rosji, że zapobiegła ona kompletnemu rozdziałowi kulturalnemu w tych krajach wynikającemu ze scudoziemszczenia warstwy oświeconej (jednoznacznej niemal w ówczesnych warunkach z warstwami uprzywilejowanymi).

Literatura czasów Katarzyny i Stanisława Augusta oddała wielką przysługę licznej klasie społeczeństwa słowiańskiego; zachowała od nieuchronnej zguby państw polskich i ludzi, zajmujących wyższe szczeble hierarchii rosyjskiej.

Tego wpływu literatury w Rosji i w Polsce dotąd nie spostrzegano. Nie podobnego nie przedstawia historia innych krajów, nigdzie nie masz tak wielkiego przedziału między klasami cywilizowanymi i gminem... Wiele tylko było w Słowiańszczyźnie ludzi uczących się, badających, ćwiczących swój umysł, to wszystkim scudoziemszczało, klasy cywilizowane poczęły nawet mówić po cudzoziemsku, językiem różnym od języka ludu.

Mickiewicz podkreśla, że narzekania na język francuski i niemiecki, stanowią „powierzchniowy sposób uważania rzeczy”... „Języka nie można nauczyć, trzeba go wszczyć. Mowa obca nie przyjmuje się bez żywego głosu, gestu, przykładu... Przybyłszy z Francji i Niemiec wynaradawiali szlachtę, nie przez swój język, ale przez swój sposób nauczania”.

Przedstawiając praktyczną działalność wychowawczą gubernera Niemca, później Francuza, autor „Kursu” kładzie nacisk nie na samą naukę języka, ale na wejście w karby obcego typu kultury.

„Gubernier Francuz, który dawał lekcje bawiąc, wydobywał z każdej rzeczy śmieszność, uczył chwycić drobne odcienia wyrazów, układał grę słów, uważać we wszystkim stronę powierzchowną, starać się najbardziej o pokazanie dowcipu, czynił swoich wychowanków Francuzami wewnątrz. Wtedy język francuski stawał się im koniecznym potrzebny, we własnym nie znajdowali nic, co by mogło oddać ich pojęcia.

Tym sposobem Rosjanie i Polacy, sami tego nie czując, zamieniali się w Niemców i Francuzów...”

Zjawisko wynikało nie tylko z nasładownictwa, do czego często usiłowano je sprowadzać — małpowania cudzoziemców; podstawę jego znajdziemy w dążności znanomującej arystokracji rodowej do wyodrębnienia bezwzględnie od mas, przy monopolizacji dóbr kulturalnych wyższego rzędu w sferze dobrze urodzonych i jej bezpośredniego otoczenia. To dawało zamknięcie się w obcym języku.

Dzisiaj obraz Mickiewicza może się wydać nieco przerysowany — zagadnienie to jednak pasjonowało ówczesnych pisarzy — stanowiło wręcz problem „być albo nie być”. Mickiewicz wskazywał na przykład Czech, gdzie odpadnięcie warstwy uprzywilejowanej od kultury narodowej przy specyficznych warunkach politycznych okazało się całkowite, język literacki miał okres wprost zaniku, tak iż pierwsi rzecznicy odrodzenia kultury czeskiej pisali po niemiecku.

U nas w owym czasie niebezpieczeństwa tego rodzaju zostały w zasadzie przezwyciężone, ale niemniej skutki rozłamu gruntujące się w przyczynach natury zarówno ekonomiczno-społecznej jak i politycznej miały pozostać jeszcze długo. Jeśli chcemy zrozumieć istotne zagadnienia pisarstwa Mickiewicza musimy uwzględnić przede wszystkim jego pojmowanie podstaw społecznych literatury rodzimej. Wyjaśni to nam niejako.

Ówczesni działacze, dążący do ustalenia jednolitego własnego modelu kulturalnego, opartego przede wszystkim na piśmiennictwie rodzimym, mieli świadomość, że wychodzą z potrzeb „gminu”, po dzisiejszemu mówiąc — ludu. Ale w masie swej „gmin” nie mógł dawać im mocnej podstawy praktycznej, niepiśmiennemu chłopu pańszczyźnianemu, było nie do literatury i sztuki — to miało pozostać jeszcze długo.

Przy watości, słabości mieszczaństwa, oparcie dla kultury krajowej dawała warstwa inteligencji szlacheckiej, odgródzona od „panów” arystokracji napiętnowanej cudzoziemszczyzną. W tej sytuacji rozumiałe się stają akcenty dramatycznej niepewności przebijające w ówczesnych apelach pisarzy — fanatyczny niemal nacisk na sprawę „narodowości” w literaturze czy kulturze ze strony żywiołów wyrażających dążenia postępowe. Zarazem tłumaczy podstawowe sprzeczności tkwiące w tych apelach — śmiałość przy niepewności, postępowość i ogładanie się na tradycję.

Jeśli mówimy o bierności kulturalnej masy ludowej to przecież nie wyczerpuje sprawy. Potężny maszyn chłopstwa przez samo istnienie oddziaływał, oddziaływał sam nacisk sprawy chłopskiej. Poczucie związku z tym nadawało siłę ówczesnym manifestom i apelom, stwarzało akcenta pewności i postępowości. Ale zarazem wyjęcie na teren praktycznego działania ówczesnych demokratów tak w polityce jak i w literaturze kończyło się nieuchronnym fiaskiem — ponieważ związek z masami pozostawał deklaracyjny tylko. Awangarda mało skutecznie próbowała nawiązywać kontakt z ludem, ale udawało się to częściowo w mieście.

Znowuż tu pod hasłami „narodowości” cofano się na teren sił tradycyjnych — przełamywania uprzedzeń warstwy uprzywilejowanej owych „wyższych dziesięciu tysięcy”. To ludzie wychowani przez gubernierów cudzoziemskich, nauczani myśleć i pisać w obcym języku. Sprowadzają oni książki zagraniczne, kupują obrazy obcych majstrów, przejawy kultury narodowej traktując ze wzgardliwym lekceważeniem jeśli nie wrogo. Z krajowej twórczości wyróżniają raczej poszczególne jednostki czy dzieła po staroświecku, na sposób „mecenasaowski”, kapryśnie. Niemniej tu istnieje baza materialna dla spraw kultury.

Stąd owo rozdzielenie. Odpowiednik tego widzimy również na terenie działalności politycznej Mickiewicza. — Okresy radykalnych wezwań, ostrych wystąpień, naprzemiennie z próbami szukania kompromisu czy współdziałania ze środowiskami arystokracji.

W tym stanie rzeczy znajdziemy przyczynę wielu sprzeczności i rozdzwieków wewnętrznych, wielu niekonsekwencji. Walka o własny model kultury narodowej — o to co ożywia wystąpienia przeciwko cudzoziemszczyźnie. Jak widzimy powód nacisku Mickiewicza kładzie nie tylko na samo posługiwanie się francuszczyzną czy niemiezczyzną, ale na skutki swoistej asymilacji ludzi warstw wykształconych przez obcą kulturę — co za tym idzie, utrwalanie przedziału między nimi a gminem — ludem. mówiąc po dzisiejszemu oderwanie się od mas, co stanowiło i wówczas najważniejsze niebezpieczeństwo dla kultury narodowej.

W praktyce te sprawy nie wyglądały prosto. W walce literackiej obie strony zarzucały sobie cudzoziemszczyznę, obstawały przy kulturze narodowej — zresztą klasyki upatrywali rekwizytem narodowego rozwoju literatury w trzymaniu się przepisów Boileau — romantycy, (jak widzieliśmy u Mochnackiego) skłonni byli przyswajać ojczystej literaturze dorobek sag starogermańskich.

Świadczy to jak krętą drogą szły te procesy zależne nie od przekonania przodujących jednostek ale i od stopnia uaktywnienia mas społecznych. Słabość tego uaktywnienia stanowiła podstawę cudzoziemszczyzny kulturalnej. Widzieliśmy go w typie, który u nas zszczył się mianem Francuza czy Paryżanina Północy. Od czasów romantyzmu zjawiały się częściej egzemplarze podobne, urobione w Niemczech — wykształcony Polak, o obecnej kulturze mówiący złą polszczyzną, naginający z trudnością, czy wręcz kaleczący język, nawet w pisaniu (u krytyków i teoretyków owych czasów szczególnie uderzała fatalna polszczyzna — Grabowski, Ty-szyński). Miało to miejsce nie tylko nabywanie obcego języka, ale głęboko sięgające przyswajanie sobie myśli, obyczajów tego co nazywamy mentalnością.

Jeśli nie same objawy to ich dalsze skutki przetrwały długo — dla wieku XIX są powszechne.

W biografii wybitnych naszych pisarzy artystów, teoretyków kultury, rolę stanowczą odgrywał pobyt za granicą dłuższy lub krótszy. U wybitnych przedstawicieli naszego piśmiennictwa doby Wielkiej Emigracji przymusowo przeciągał się właściwie na resztę życia. W ciągu całych dziesięcioleci nie było na zie-

miach polskich uczelni wyższych, a nawet gdy istniały — pozostawały pod wpływem obcych czynników państwowych oraz obcych doktryn.

W tych warunkach, gdy coraz zrywała się ciągłość pracy kulturalnej, miała ona charakter z natury rzeczy ochotniczo-amatorski. Typ zarówno działaczy jak i odbiorców u nas wiązał się dłużej niż gdziekolwiek z wychowaniem domowym. W drugiej połowie stulecia warunki zmieniały się w niejednym, ale oddziaływanie tego typu umysłowości zostało. Bujny skądinąd rozkwit naszej literatury i sztuki w warunkach zaborów stwarzał przesłanki dla przewyciężenia zasadniczego omówionych procesów, ale ich całkowicie nie umorzył. W nowych warunkach scudoziemszczenie warstwy wykształconej stwarzało sobie odmienne formy.

W istocie swojskość pojmowana w sposób rezerwatowy spletała się u nas z cudzoziemszczyzną. Podstawę wykształcenia w sensie nabycia sprawności umysłowej nadal stanowią języki obce. Zdobywa się za ich pośrednictwem wyrobienie ogólne, technikę pisania i myślenia. Pojęcie kultury narodowej, przy akcentowaniu jej odrębności towarzyszy uznawanie jej, jako zjawiska trochę nie z tego świata. Przewagę zachowawczości obyczajów, tradycji z dużym nalotem estetycznym, wcześniej już dostrzeżono w naszym sarmatyzmie i jego późniejszych odmianach.

Potwierdzały to osobliwości, które widziano w rozwoju naszej poezji wieszczej. Ludziom wychowanym pod wpływem zagranicy na lekturze autorów obcych sprawiała satysfakcję, iż posiadamy literaturę narodową, stanowiącą swoisty rezerwat form i zjawisk, gdzie indziej rzadko spotykanych, badaj zaginionych, niby jakieś pozostałości reliktywnych formacji. Pozycja kulturalna szlachty sprzyjała natomiast tej rezerwatowości co uwydatniała nieraz publicystyka nasza, nie tylko doby pozytywizmu. Jeśli powody natury społeczno-politycznej sprzyjały konserwowaniu elementów pseudoarystokratycznej formacji kultury poza wiek XIX, tym silniej wystąpiły typy schyłkowe, typy dekadencji.

Te pierwiastki walki kulturalnej doby romantyzmu — zatracane — bywają przy estetyzującym przejawie sposobie ujmowania zjawisk przez późniejszych badaczy. Mamy tu jedną ze wspólnych treści zarówno doby tzw. romantyzmu jak i oświecenia. Niewiele zrozumiemy z twórczości Mickiewicza nie uwzględniając spadku nie tylko idei, ale i praktycznych zagadnień natury społecznej w twórczości Mickiewicza, który mu przypadł po dobie oświecenia.

## IV.

Ten skądinąd osobliwy przebieg procesów w naszym piśmiennictwie pozwala nam zrozumieć zjawisko rewizjonizmu literackiego, w okresie dwudziestolecia, mające tradycje wcześniejsze.

Boj nawiązywał do pozytywistów, ale w sposób mało zasadniczy, jego stosunek do tych kwestii okazał się bardziej złożony. Przeżył „Młodą Polskę” od wewnątrz. Najważniejsze wydarzenie literackie jego młodości stanowiła premiera „Wesela”. Wypiański, jak wiemy ze swego stanowiska kwestionował wartości wychowawcze naszego romantyzmu — jego krytycyzm poetycki okazał się zresztą bezwzględny. Autora „Wyzwolenia” z miejsca powołano w poczet wieszczów, co zakreśliło granice jego rewizjonizmu, przeniosło antagonizm w wysokie sfery estetyzmu, ujmowanego w aurze mistycznej. Owe zagadnienia wychowawcze romantyzmu znalazły się znowuż w błędnym kole mistyki romantycznej sporów wieszczów i antywieszczów.

W znacznej mierze wiąże się to z problematyką polityczną okresu. Przy zachowaniu tradycyjnej postawy konserwatywnej społecznego, jak u Wyspiańskiego, nie było jasnych rozstrzygnięć w dziedzinie spraw ogólnopolskich, spraw bytu narodowego.

Widzimy to u pisarzy młodopolskich, by tak rzec, drugiego powołania, u których krytyka postawy romantycznej towarzyszy jaskrawemu wykazywaniu naszych anachronizmów kulturalnych. Ale dostrzeżenie, trafne nieraz sformułowanie diagnozy zjawiska, nie dawało warunków do zmiany. Widzimy to w rewizjonizmie Brzozowskiego, Irzykowskiego, brutalności ówczesnych wystąpień antyromantycznych Nowaczyńskiego. Jednakże wyjściowe okazało się stanowisko poetów jak publicystów spętanych przez warunki i brak konstruktywnego programu społecznego.

Reakcja antyromantyczna w łonie „Młodej Polski” uwarunkowana została zresztą

przez wydarzenia rewolucyjne lat 1905—7, otwierając mimo porażki rewolucji, nowe perspektywy społeczne. W okresie dwudziestolecia sprawy owe zaktualizowały się szczególnie — ponieważ w nowych warunkach anomalie kulturalne związane z tradycyjnym typem kultury zostały wykorzystane przez siły wsteczności w stopniu szczególnie uderzającym.

Rewizjonizm lat dwudziestych wiąże się ściśle ze sprawą podstawowego kryzysu kulturalnego. Zewnętrzny przejaw jego stanowiła atmosfera rozczarowania w życiu umysłowym.

Pozostawanie Polski pod zaborami zupełnie słusznie uważano za moment uwsteczniający historycznie. Wnioskowano więc, iż sam fakt odzyskania bytu państwowego winien stanowić potężny impuls dla twórczości kulturalnej.

Zniesienie krępujących więzów państw zaborczych pozwalało wrócić rozkwit wszechstronny literatury, wiedzy, sztuki. Zdawało się to proste i oczywiste. Te oczekiwania ówczesnych entuzjastów nie sprawdziły się — owszem, po krótkim ożywieniu doby inflacji następuje osłabienie tętna życia kulturalnego, spadek nakładów książek, zainteresowania się sztuką. W publicystyce mieszczańskiej okresu obraz tego kryzysu wystąpił przede wszystkim w formie różnorodnych oskarżeń i poszukiwania bezpośrednich winowajców osłabienia tempa.

Pisarzy i artystów obwiniano, że nie potrafili zainteresować ogółu; ci znowu narzekali na gusty „powojennej” publiczności itp. Ale owe interpretacje dawały wyjaśnienia natury drugorzędnej.

Istotną przyczynę stanowił upadek siły twórczej systemu, upadek warstw społecznych, które go podtrzymywały. W czasach zaborów mieliśmy okresy intensywnej twórczości kulturalnej przy niekorzystnych warunkach zewnętrznych ale zjawisko to występowało na tle zachodzących zmian w duchu postępowym. Zniesienie pańszczyzny, wejście w życie polityczne nowych warstw, przeobrażenia społeczno-gospodarcze i polityczne dawały podniety twórczości politycznej i literackiej tej doby. Te same treści rewolucji mieszczańskiej widzimy w ówczesnym wielostronnym rozwoju społeczeństw europejskich. Dostrzeżemy je w dobie pozytywizmu. Nowe fermenty społeczne pod koniec XIX wieku, wystąpienie klasy robotniczej dało podkład i siłę motoryczną dążeniom niepodległościowym czasów nowszych. Tak żywy ruch umysłowy przełomu XIX i XX wieku, jak i kryzys późniejszy, stanowiły część procesów szerszych.

Schyłek świata mieszczańskiego, zapowiadany od dziesięcioleci, zaznaczył się wyraźnie po rewolucji proletariackiej w Rosji. Siły twórcze systemu zanikały w czasie, gdy posiadał on jeszcze dość środków materialnych do walki o swe istnienie.

W wykładach o literaturze słowiańskiej Mickiewicz podkreślał analogie kulturalne rozwoju Polski i Rosji. W Rosji widzieliśmy również cudzoziemszczyznę klasy uprzywilejowanej — z drugiej strony słowianofilstwo przypomina w niejednym nasz sarmatyzm — towarzyszy mu również wsteczne pojmowanie rodzimoci.

Rewolucja październikowa umorzyła w znacznej mierze dawne problemy — nowe formy gospodarcze i społeczne stworzyły przesłanki dla nowego rozwoju kultury narodowej.

Polska, która przeżywała w XIX w. by tak rzec, na peryferiach rewolucji mieszczańskiej jako państwo po roku 1918 została rzucona przez siły wsteczne do walki z rewolucją proletariacką. Przesądziło to nie tylko przebieg polityki zewnętrznej i wewnętrznej w okresie dwudziestolecia, ale i w znacznej mierze charakter procesów kulturalnych.

Siły postępowe przedstawiające klasę rewolucyjną, zostały zepchnięte do podziemia. Twórczość proletariatu w polityce, jak kultura ujawniła się przede wszystkim w przeciwstawieniu się, w krytyce panującego systemu — nowe żywioły społeczne nie miały możliwości działania na skalę poważniejszą.

Nie można traktować twórczości kulturalnej w oderwaniu od podłoża społecznego — procesy ideologiczne, o istotnie głębokim zasięgu nie dadzą się izolować. Zachwianie się struktury społecznej, gospodarczej i kulturalnej — wytworzyło w różnych dziedzinach różnorodne postacie kryzysu, różnorodne procesy uboczne.

Jak wspomnieliśmy, kryzys kulturalny na podłożu omówionym po roku 1918 zaostriżył podstawowe dysproporcje, zaznaczające się już wcześniej. Z uderzającą

\*) Przedmowa do zbioru prac Tadeusza Boya-Zeleńskiego o Mickiewiczu, mającego ukazać się wkrótce nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik”. Por. poprzedni (48) numer „Kuznicy”







nej uczuciowości, — tradycyjne cechy naszego baroku szlacheckiego rozwinęły się szczególnie u epigonów romantyzmu. Rola kulturalna baroku szlacheckiego — cokolwiek by o tym pisali jego dzisiejsi apologety — nie daje wspomnień napawających otuchą. Epoka romantyczna posiada atuty natury estetycznej — ale i tu przecież należy oddzielić integralne właściwości romantyzmu w ścisłym znaczeniu od kierunku nierównie potężniejszego w ramach którego się rozwijał. Mówię o ideach przełomu XVIII i XIX wieku.

Boy, o czym warto pamiętać, przebywając długo w środowisku epigonów romantyzmu, nawiązywał do tradycji literackich naszego oświecenia. Nie wylewał dziecka z kąpielą — co zdarzało się u nas pozytywistycznym krytykom romantyzmu. Potraktowanie sprawy baroku szlacheckiego raczej na płaszczyźnie treści społeczno-

obyczajowych, przemian obyczaju i moralności społecznej, pozwoliło mu na niejednym rozszerzyć tradycyjną skalę ujęć.

Pouczający przykład stanowi tu szkic „Robak wojskowy i cywilny” omawiający stosunek bohaterów „Pana Tadeusza” do spraw pieniężnych i własnościowych. Temat ten rozwinął później autor na przykładzie szlacheckich bohaterów Fredry w „Obrachunkach Fredrowskich”. Autorowi „Brazowników” nie chodziło o czepianie się, spóźnione „demaskowanie” typów kontuszowych. Moralność szlachecka opierała się przecież na zespole pojęć urobionych historycznie, a przeciwstawionych obyczajom i etyce mieszczaństwa, a więc i poglądy na zajazd, zabory mienia opierały się na formach ustalonych przez tradycję i prawo obyczajowe.

Nawiasem mówiąc stosowanie literalne metod Boy'a, naśladowanie jego sposobu

traktowania zagadnień — co się niekiedy spotyka — daje na ogół z racji specyficznych właściwości jego piśmiennictwa wyniki niezbyt dobre. Niemniej w zasadzie praktyczne rozważanie spraw moralności społecznej, przetrząsanie pojęć, współdziałanie w ich ewolucji stanowi jedno z głównych zadań literatury. Sprawy artystyczne, sprawy estetyki nie dadzą się oddzielić od postawy społeczno-moralnej pisarza. Cechą prawdziwie wielkiej sztuki w odróżnieniu od plotkarstwa banalnego romanisu, czy bulwarowej komedii stanowi przedstawienie starcia typów moralności. Doprowadzenie sprzeczności do tego nasilenia, które widzimy w dziełach dawnych mistrzów, stanowiło zarazem o ich historycznym przewyżczeniu.

Wiemy, że pojęcia epok wcześniejszych w formach różnorodnych, przenikając w czasy nasze, wytwarzają trudności natury

praktycznej w życiu społecznym. W okresie utrwalania się pozycji mieszczaństwa bruździły i przeszkadzały pozostałości obyczaju i moralności klasowej szlacheckiej. Dziś w momencie stanowczych przeobrażeń społecznych pozostawanie jednostek czy całych grup przy wyobrażeniach, narowach epok minionych — stanowi poważną groźbę. Literaturze przypada poważna rola w przetrząśnięciu tych spraw, w przewyżczeniu nieodzownych trudności psychicznych, powstających w epokach przewrotów społecznych.

Jakkolwiek ocenimy szczegóły polemicznej kampanii Boy'a o Mickiewicza — jej momenty mniej lub więcej fortunate — stanowi ona przecież epizod znaczący wagi dla historii literatury, historii pojęć i przemian w nich zachodzących.

Andrzej Stawar

ILIA ERENBURG

## ECHA KONGRESU INTELEKTUALISTÓW

Nasza prasa literacka niewiele stosunkowo miejsca poświęciła echem Kongresu Wrocławskiego zagranicą, choć echa te były dość liczne i nieraz interesujące. Poniżej zamieszczamy dwa spośród nich: artykuł Ilji Erenburga, drukowany w jednym z numerów „Nowego wremia” oraz streszczenie interesującej dyskusji na temat Kongresu, jaka odbyła się na łamach jednego z pism brytyjskich „Our Time”.

### Na Światowym Kongresie Intelktualistów w Obronie Pokoju

JEDEN z dzienników amerykańskich oświadczył, iż o Kongresie we Wrocławiu nie warto nawet pisać. W tym samym numerze tegoż dziennika znalazłem długie sprawozdanie z konkursu w Chicago: jakimś znakomitemu żarłokowi udało się zjeść jeden po drugim sześćdziesiąt befsztyków. Jasne, iż dla czytelników, którzy uwielbiają talent do tego rodzaju rekordów, poglądy Joliot-Curie, Haldana, Szolochowa lub Picassa nie są zajmujące. Na szczęście nawet w tej samej Ameryce istnieje dość ludzi, którzy mają oczy i dla których myśl ludzka nie straciła swej wartości. Dla nich, podobnie jak dla mieszkańców Europy, Kongres we Wrocławiu posiada głębokie znaczenie, gdyż jest pierwszą po wojnie próbą znalezienia wspólnego języka uczonych i artystów.

Wiemy, że taka powieść jak „Wojna i Pokój” znaczy więcej niż tysiąc miernych powieści i że życie Pasteura czy Miecznikowa jest nie mniej wartościowe niż działalność niejednego uniwersytetu. Doniosłość Kongresu we Wrocławiu nie należy mierzyć jedynie obecnością pięciuset osób przybyłych z czterdziestu pięciu krajów. Nie zapominajmy, co to byli za ludzie. Uczony, pisarz, malarz — nie posiadają oficjalnego mandatu, lecz mimo to reprezentują swoich uczniów, towarzyszy, czytelników. Tak, sto tysięcy ludzi może wybrać w jakimś kraju deputowanego, lecz pisarz, jeśli tylko posiada talent, rozum, polot — kieruje poglądami, uczuciami i czynami wielu milionów ludzi. Dlatego chciałbym wymierzyć nazwiska.

Zacznę od pisarzy. Książki Fadlejewa i Andersena, Nexö, Szolochowa i Anny Seegers, Amado i Leonowa, Vittoriniego i Bontempelli'ego, Nalkowskiej i Verecorsa były tłumaczone na wiele języków. Nazwiska poetów Tuwima i Eluarda, malarzy Picassa i Légera, reżyserów Pudowkina i Buriana znane są daleko poza granicami ich krajów. Nazwiska: Joliot-Curie, Haldane, Prenant, Tarlé, Bernal, Wallon — wiadome są dobrze ludziom nauki. A przecież te nazwiska nie wyczerpują znakomitej listy uczestników kongresu, jak również ci, którzy przybyli, nie stanowią liczby tych wszystkich, którzy udzielili im swego poparcia.

Obłudni władcy „pewnych państw szeroko reklamują „wolność poruszania się”, rozumiejąc przez to rzecz bardzo szczególną: swobodę poruszania się szpiegów po Związku Radzieckim. Te same świetoszki przestają interesować się swobodą poruszania, skoro tylko dotyczy ona uczonych i pisarzy awangardy. Niektóre kraje nie mogły przysłać swoich delegatów na Kongres, a obecność delegatów Brazylii i Portugalii była ich osobistym bohaterstwem. Pablo Neruda, największy poeta Ameryki łacińskiej nie mógł się udać do Wrocławia: ścigają go agenci Nowego Świata. Wiele wybitnych osobistości oświadczyło, iż na odległość wezmą udział w pracach Kongresu: profesor Einstein, najwybitniejszy pisarz Stanów Zjednoczonych, Steinbeck i Caldwell, angielski pisarz Priestley, pisarze francuscy Duhamel, Aragon i Cassou, malarze Matisse, Lothe, Fougeron, Chagall i inni.

Wszelako Kongres we Wrocławiu nie był zebraniem mędrców, mistyczna narada kilku wybranych. Dwie okropne wojny nie minęły daremnie: najgłodniejsi przedstawiciele ludzkiej myśli zrozumieli, iż będą bezsilni, o ile nie zwiążą się ze swoim ludem. Ołbrzymi meeting, który odbył się w tymże Wrocławiu, pokazał iż pisarze polscy mają za sobą czytelników i lud. Tysiące depezy i telegramów wyrażały wolę pokoju wszystkich ludów: Kongres był powitany przez górników Picardii, kobiety Sycylii, studentów Norwegii i partyzantów Grecji. Przed murami Politechniki, gdzie odbywały się narady Kongresu, falował wzruszony i pełen nadziei

ga, drukowany w jednym z numerów „Nowego wremia” oraz streszczenie interesującej dyskusji na temat Kongresu, jaka odbyła się na łamach jednego z pism brytyjskich „Our Time”.

thum, tłum, który wraz z delegatami zadał pokój w „nie księżak i drzew, w imię kamieni i spodu i dzieci wszystkich miast i wszystkich krajów.”

To że Kongres poświęcony sprawom pokoju zebrał się we Wrocławiu jest moim zdaniem faktem symbolicznym. Wiadomo, iż nacjonalistyczne Niemcy nie chcą uznać zmian, które zaszły na mapie Europy. Dla nich Wrocław to Breslau. Rewizjonistów popierała imperialistyczna anglo-amerykańska; nie dlatego że Breslau podoba im się bardziej niż Wrocław, ale dlatego że wojna podoba im się bardziej niż pokój. W oczach pewnych gorących zwolenników zbrojeń, Wrocław stanowi dogodny cel lub może służyć za dobry pretekst:

Uczestnicy Kongresu, zgromadzeni w tym mieście, podkreślili tym samym niezmienną granicę (a-wiasem mówiąc, wielu zaproszonych z poza Atlantyku nie wiedziało udając się do Wrocławia, że jada do dawnego Breslau, ale znalazłszy się na miejscu, widząc bohaterską pracę Polaków, sami nie ośmielili się oświadczyć, iż rzeczywiście znajdują się w polskim mieście).

Ruiny Wrocławia przypominały uczestnikom Kongresu zło jakie wojna wyrządza cywilizacji. Pewni spośród nich, którzy nigdy nie byli w tym mieście, wyobrażali je sobie jako twierdzę militarystyki pruskiej, lenno Klausewitz'a, obszerne koszary. A tymczasem we Wrocławiu znajdują się wiele wspaniałych pomników sztuki romańskiej i gotyckiej. Są bezlitośnie zniszczone wojną i Amerykanie, widząc te gruzy, mimowoli zaczęli się zastanawiać nad wstępnymi artykułami w „New York Times”...

Byłem we Wrocławiu przed rokiem i ujrzałem teraz jak potężnego dzieła dokonali Polacy w ciągu tak krótkiego czasu. Wystawa Ziemi Odzyskanych pokazała uczestnikom Kongresu, z wielką pomysłowością i gustem, olbrzymie osiągnięcie ludzi, którzy osiedliwszy się w ruinach, na nieznanym terenie, ożywił te ziemie swoim płomiennym wysiłkiem. „To rzecz, której można tylko doświadczyć, powiedział mi pewien Francuz. Polacy nie mają planu Marshalla, ale za to posiadają wiarę we własne siły i w Pokój.” O ile bowiem gruzy Wrocławia mówią o okropnościach wojny, rusztowania wzniesione wokół nich mówią o czym innym: o zwycięstwie, o pracy, o tryumfie człowieka nad ślepyimi siłami nienawiści i zniszczenia.

Mimo iż wielkie dzienniki angielskie i amerykańskie starały się jak najmniej pisać o Kongresie, to jednak nie należy przypuszczać, że rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych nie interesowały się nim. Kulturalny Kongres był bardzo ożywiony: przedstawiciele pewnych państw usiłowali udaremnić jego prace i zobowiązać niektórych delegatów do opuszczenia Wrocławia przed zakończeniem obrad. Nie powiem by we wszystkich wypadkach wybór przystanych delegatów nie nasuwał zastrzeżeń. Jeden z członków grupy amerykańskiej, zapytany czy jest pisarzem, uczonym, dziennikarzem lub profesorem, odpowiedział dumnie: „Businessman!” I pod tym tytułem figurował na liście członków Kongresu. Wśród delegatów angielskich zauważyliśmy gentlemiana, który zanim stał się szermierzem kultury i obrońcą pokoju był brytyjskim attaché wojskowym w Moskwie. Niemniej jednak, gdy oficjalni przedstawiciele pewnych państw chcieli otworzyć przedostać się na sale posiedzeń — nie wpuszczono ich. W jednym z włoskich pism wi-

działem zdjęcie obrotowego reportera: dyplomaci angielscy siedzą na stopniach schodów prowadzących do Politechniki.

Bez trudu można zrozumieć kłopoty czcigodnego pana Huxleya. Jako dyrektor UNESCO, jest on swą oficjalną działalnością związany z Bevinem i Marshall'em. Obowiązek służenia nauce i ludzkości przywiódł go do Wrocławia. Huxley przeżył dramat nie tylko wewnętrzny, ale również odsonił go przed Kongresem. Bił brawo, gdy wskazywano na groźby imperializmu amerykańskiego. Bił brawo, gdy mówiono że imperializm amerykański nie istnieje. Oświadczył mi, że jest zachwycony wystąpieniem Zasławskiego, ale sam wypowiedział przemówienie, w którym usiłował dyskusję między zwolennikami pokoju zamienić w rozważania na temat realizmu i formalizmu (co Picassa pobudziło do śmiechu).

Huxley zgłosił pewne poprawki do rezolucji, twierdząc iż bez wahania podpisałby rezolucję „złagodzoną”, ale gdy jego propozycje zostały przyjęte — nagle zachorował i wyjechał na parę godzin przed głosowaniem.

Ani przez chwilę nie wątpię w dobrą wolę pana Huxleya, ale teraz, gdy w dziennikach angielskich czytam tyrady o nieskończonej wolności dumnych Brytyjczyków, myślę zawsze z zakłopotaniem uśmiechem o Huxley'u, który nie mógł nie przyjechać do Wrocławia, ale od chwili przyjazdu myślał tylko jak się stamtąd wydostać; który był jednym z przewodniczących Kongresu, a po wyjeździe skwapliwie oświadczył, że jego obecność we Wrocławiu była owocem nieporozumienia. Ja nie oskarżam, ja żałuję.

Wśród delegatów amerykańskich i angielskich była grupka ludzi, której cele różniły się od celów innych uczestników Kongresu. Dwóch delegatów tej grupy zabrało głos: pan Taylor, profesor uniwersytetu w Oxford i inny, również profesor, Amerykanin. Pan Taylor był bardziej elokwentny niż jego kolega. Oświadczył, iż dyskusja o imperializmie jest propagandą, i że spodziewał się spotkać we Wrocławiu poważnych uczonych, a nie komsomołców. Nie znam dzieł naukowych pana Taylora, ale — muszę wyznać — zdziwiłem się nieco widząc historyka który zaprzeczał istnieniu imperializmu. Kongres wysłuchał uważnie wystąpienia dwóch gentlemanów, którzy zapewne sędzieli, iż Wrocław w 1948 r. jest Genewa w roku 1938. Lecz ci gentlemani nie zadowolili się paroma mizernymi okłaskami, które spowodowała raczej uprzejmość niż sympatia; gentlemani zaczęli pracować za kulisami.

Zdarzył się wypadek doprawdy komiczny.

Jeden z gentlemanów, powieściopisarz angielski, wyszedł na trybunę i wygłosił swe mea culpa. Otóż, on i trzej jego koledzy zaprotęstowali na piśmie przeciw Kongresowi, ale były to ich prywatne rozmyślenia, coś w rodzaju zbiorowego dziennika, przeznaczanego dla małżonki i potomności, a nie do prasy. Lecz stało się nieszczęście: liryczne wyznania odartych ze złudzeń Anglików wpadły „przypadkiem” w ręce amerykańskiego reportera „nie odartego ze złudzeń”.

Gentleman przeprosza Kongres, iż zganił go w prasie, podczas gdy chciał zganić go tylko na piśmie. Nieco później poradziłem pewnemu prawnikowi amerykańskiemu, który jest zapalonym zwolennikiem Freuda, by przeprowadził psychoanalizę tych skruszonych Anglików. Co do mnie, zadowolę się hipotezą, którą mi podsuwa dobry, stary Dickens.

Ale, jeśli już mowa o psychologii, zatrzymajmy się lepiej przez chwilę na innym zdarzeniu — zdarzeniu z siódmym Amerykaninem. Kiedy redagowano rezolucję, Amerykanie oświadczyli, iż nie wszyscy z nich ją podpiszą, gdyż ryzykują, że zostaną połączeni do odpowiedzialności przez słynną „komisję działalności antyamerykańskiej”. To był argument, który łatwo zrozumieć: znamy dobrze absolutną wolność, jaka panuje w Stanach Zjednoczonych. Ale w końcu stała się rzecz całkiem odmienna. Siedmiu Amerykanów głosowało przeciw rezolucji. Sześciu wymieniło swe nazwiska, ale siódmy nie zyczyl sobie, by je zdradzić publicznie. Jasne, iż ten siódmy nie lekał się mr. Thomas'a, ale bał się swego ludzkiego sumienia. No cóż, nie jest to zły znak.

Lucji. Sześciu wymieniło swe nazwiska, ale siódmy nie zyczyl sobie, by je zdradzić publicznie. Jasne, iż ten siódmy nie lekał się mr. Thomas'a, ale bał się swego ludzkiego sumienia. No cóż, nie jest to zły znak.

Pokój jest lepszy od wojny, to mówią wszyscy, nawet dzienniki Hearsta, nawet zwolennicy bomby atomowej. Chodzi o inną rzecz, żeby wiedzieć dokładnie, kto zagraża pokojowi. Bardzo jest trudno pomóc choremu, nie stwierdziwszy źródła choroby. Myślę o nieboszcze Lidze Narodów, gdzie uprzejmi pomocnicy nieuprzejmym bandytom mówili o agresji nie wskazując agresora. We Wrocławiu pewni Anglicy i Amerykanie chcieli wskrzesić tę tradycję: mówili, że rzeczywiste wojna jest rzeczą niegodną, ale absolutnie nie sposób ustalić skąd wypyta zagrożenie wojną. Cyniczne osobistości, licząc na naiwność, usiłowali osiągnąć za sobą niezdecydowanych, ośobnbi komunistów i delegatów radzieckich. Nie udało im się tego osiągnąć i sami zostali odizolowani.

Obecnie ci urażeni gentlemani usiłują przedstawić Kongres we Wrocławiu jako zgromadzenie komunistów. Trudno było by wymyślić coś bardziej fałszywego. Pozwól mi sobie przedstawić czytelnikom kilku „komunistów”: ksiądz Boulier, profesor Instytutu katolickiego; Johnson, dziekan katedry w Canterbury; Yves Farge, były minister; Martin, redaktor „New Statesman and Nation”; adwokat Rogge, zwolennik Wallace'a; pisarz francuscy Bedel i Verecors; profesor Giral i inni. Nie potrzebuję chyba dowodzić, iż koncepcja świata księdza Boulier jest bardzo różna chociażby od mojej. Kongres we Wrocławiu wykazał, iż intelektualiści zrozumieli wiele rzeczy podczas straszliwych lat faszystów. Zrozumieli, że kultura i pokój nie są zagrożone przez komunistów, ale przez ludzi, którzy pod pozorem walki z komunizmem, walczą ze wszelkim postępowem. Oto dlaczego spełzły na niezłym intrygu dyplomatów, akredytowanych lub nie. Kiedy przewodniczący delegacji amerykańskiej oświadczył iż trzy czwarte jego koleżków głosowało za rezolucją oskarżającą imperializm, delegacja sowiecka, stojąc, podziwiała poracymi okłaskami swych towarzyszy broni w walce o pokój.

W kuluarach jakiś Francuz przeczytał w dzienniku następującą depezę z Frankfurtu nad Menem: „Środowiska pozostające pod wpływem Niemiec Zachodnich podtrzymują opór aliantów przeciw polityce sowieckiej.” Pokazał dziennik z lekkim uśmiechem swemu koledze: „Oto nowe znaczenie, które nadane słowu „opór”. Tak, słowa mają również swój los. Słowo opór, przywołuje wiele cierpienia, krwi, odwagi: Słowem tym nazywano wielką walkę narodów europejskich z faszystowskim okupantem. Oto malarz włoski, Renate Guttuso, jeden z najbardziej uzdolnionych artystów naszych czasów. Był partyzantem. Oto młoda Francuzka, Madelaine Daix, która wysadziła pocąg w powietrze. Oto poeta Ryszard Dobrowolski, partyzant polski. Cóż im proponują Amerykanie? „Opór” popierany przez magnatów zagłębia Ruhr. Wniosek przypuszczam, jest jasny.

Świetne były wystąpienia przedstawicieli ludów kolonialnych. Blackman, czarny poeta, rodem z Antylli brytyjskich, odpowiedział panu Taylorowi: „Angielski jest moim językiem ojczystym, który kocham. Jest w tym języku bardzo piękne słowo „Liberty”. Ale chcę żeby to słowo miało jasne znaczenie. Chcę, żeby to słowo odnosiło się również i do nas.” Widzieliśmy we Wrocławiu Felix Tchicaya, deputowanego z Kongo, Rakola Ratsimamanga, doktora z Madagaskaru, Almé Césaire, pisarza z Martyniki, przedstawicieli Indii, Ceylonu, Algierii.

I jeszcze raz stwierdziłmy wysoki poziom kultury tych ludzi, którym w Waszyngtonie wzbrowione jest wejście do teatru czy biblioteki. I jeszcze raz zastanawialiśmy się nad ułomnością słów: któż odważył by się powiedzieć, iż Blackman to dziki? I kto odważył



się nazwać ludźmi cywilizowanymi tych, którzy rządzą czterdziestoma Stanami Ameryki Północnej?

\*

We Wrocławiu raz jeszcze mogliśmy sobie zdać sprawę, że wszystkie dzieła żywe i cenne w dziedzinie sztuki są stworzone przez ludzi, którzy złączyli swój los z ludem. Wymieniłem już malarza Guttuso, Pablo Picassa ozdobił dziennik wychodzący na Kongresie pięknym rysunkiem przedstawiającym wieśniaczkę polską, ofiarował Polsce wykonaną przez siebie ceramikę. Paul Eluard, jeden z najsubtelniejszych poetów francuskich, komunista, członek ruchu oporu, napisał we Wrocławiu potężny poemat. Najlepszy powieściopisarz brazylijski, Amado, surowy i namiętny, który odtworzył życie wydziedziczonych w jego kraju, brał udział w obradach Kongresu we Wrocławiu. Poznaliśmy tam wielu wybitnych pisarzy Ameryki Łacińskiej: Enrique Amora, poetę i powieściopisarza Urugwaju, Alfreda Varele, twórcę opowieści o pasterzach-gauchos. Widzieliśmy pełnego energii Hansa Eislera. Mogliśmy uściskać rękę wiecznie młodemu Andersen Nexø, poznać projekty literackie Stojanowa i Drdy, porozmawiać z włoskim architektem Cosenza, twórcą rekonstrukcji zniszczonych dzielnic Neapolu, zdaliśmy sobie sprawę z siły literatury włoskiej reprezentowanej jednocześnie przez pisarza starszego pokolenia Bontempelli'ego i przez młodego prozaika Vittorini'ego oraz poetę Quasimodo, rozmawialiśmy z Légerem, z Hay'em, z niestrudzonego Burianem i wielu innymi.

Nie chciałbym używać zdań banałnych mówiąc o uczuciach naszych przyjaciół dla pisarzy i uczonych sowieckich. Na tym Kongresie nie było linii podziału, mogliśmy stwierdzić, że nasi przyjaciele żyją, walczą i tworzą razem z nami. Wybitny biochemik angielski Haldane znakomicie ośmielzył się panegirystów rzekomej cywilizacji zachodniej. Powiedział: „Zwyczajnie rozumie się pod słowem „zachodni“ chrześcijaństwo, a pod słowem „wschodni“ marksizm — ale nie zapominać, że Chrystus urodził się na wschodzie, a Marks na zachodzie“.

Kongres potwierdził, że granice nie biegają wzdłuż szerokości i długości geograficznych, lecz że granice istnieją w czasie: z jednej strony chylący się ku upadkowi świat, który chce przedłużyć swe trwanie za cenę przemocy, ciemnoty, za cenę okrutnej wojny; a z drugiej — nowy człowiek, do którego należy przyszłość. Siła i rozmach kulturalny Związku Radzieckiego wspierają pracowników kultury i intelektualistów całego świata w obrocie dawnych wartości moralnych i tworzeniu nowych.

Zostało to stwierdzone w długich przemówieniach i krótkich replikach przez oklaski, manifestacje przyjaźni i gorące uściski rąk.

\*

Parę słów o przedstawicielu rzekomej „kultury zachodniej“. Po zakończeniu prac Kongresu ambasador Brazylii zwrócił się z następującym przemówieniem do muzyków i pisarzy brazylijskich: „Kawa dopomaga skutecznie w rozwoju intelektualnym. Znajdując się w kraju zacołanym, jedynym sposobem by mu pomóc jest gorące zalecenie kupna kawy brazylijskiej“. Podkreślam: to nie wyjątek z pisma humorystycznego, to dokładne, jeśli nie dosłowne wystąpienie pomysłowego dyplomaty.

Istnieją wydarzenia, które wywołują dużo hałasu. Zapełniają przez jeden dzień kolumny dzienników, i natychmiast przestają się o nich pamiętać. Sądzę, iż można będzie ocenić rezultaty Kongresu dopiero po kilku miesiącach. Delegaci z chwilą powrotu do swoich krajów, zaczną mówić, pisać i słowa prawdy dotrą do ludności tych obszarów gdzie ubóstwo informacji idzie w parze z nadmiarem fałszerstw informacyjnych.

Z całego serca sprzyjamy naszym przyjaciołom, starym i nowym, w ich szlachetnym i trudnym zadaniu.

Illa Erenburg  
tłumaczyła M. Z.

## Angielska dyskusja o Kongresie Wrocławskim

Garść ciekawych wypowiedzi o Kongresie Wrocławskim przynosi numer brytyjskiego miesięcznika „Our Time“, w którego artykule wstępnym pt. „Zbroja pokoju“ (The Armour of Peace) czytamy o „ostatniej krzywej nieuczciwości, jaką było przemilczenie, albo celowe zbagatelizowanie przez prasę angielską sierpniowego Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu“.

„Jeśli potrzeba — pisze Our Time — jeszcze jednego dowodu na to, jak prasa brytyjska — komercyjnie, a wielu naszych orędowników kultury — ideowo, od dłuższego już czasu przeszkadza rozwojowi właściwej sztuki, sztuki pokoju, to dostarcza go ten jeden fakt. We Wrocławiu zaszło więcej ważkich dla naszej kultury wydarzeń, niż zdoła ukryć ów spisek milczenia. Wielu naszych wybitnych artystów i uczonych opowiedziało się głośno za pokojem, aby położyć kres hysterii i udzielić kraj z gnębionych go chorób. Uznali, że nie jest to czas na rozgryzanie dalekich i do niczego nie prowadzących kwestii, ale czas, aby położyć na szale historii cały nasz wieloraki dorobek sztuki i nauki, na który złożyły się: wiedza, wyobraźnia, uczucia ludzkie, miłość do ludzi i kraju. Pokoju nie można wygrać piórem, ale pióro stanowi też część jego uzbrojenia“.

Redakcja „Our Time“, w której skład wchodzi m. in. jeden z b. uczestników kongresu, muzyk, dyrektor Filharmonii londyńskiej, Thomas Russel, postawiła sobie za zadanie przełamanie milczenia brytyjskiej prasy i stwierdzając na innym miejscu, że „większość dzienników uznala za stosowne dać wyraz tylko poglądom mniejszości delegatów na Kongres“, zamieściła, prócz cytowanego wyżej artykułu wstępnego, rezolucję kongresową oraz wypowiedzi jedenastu uczestników brytyjskiej delegacji, w tym dwu z grupy tych, którzy głosowali przeciwko rezolucji.

W ten sposób na łamach cytowanego miesięcznika znajdujemy głosy filozofa O. Stapledona, przyrodników prof. J. D. Bernala, W. A. Woostera i C. H. Waddingtona, muzyków R. Boughtona i T. Russela, architekta J. M. Richardsa, matematyka H. Levy'ego, sekretarza generalnego Państwowej Federacji Pracowników Naukowych I. G. Crowthera — a obok nich również opinie znanych nam ze swych „opozycyjnych“ wypowiedzi na Kongresie przedstawicieli „mniejszości“ — historyka A. J. P. Taylora i poety Richarda Hughesa.

Zasadniczy artykuł sprawozdawczy o Kongresie wyszedł spod pióra T. Russela, wyrażającego nadzieję, że w tym co napisał, wypowiada poglądy większości brytyjskich delegatów na Kongres. Podkreślając powszechne zainteresowanie Kongresem i jego obradami, jakie zauważył w Polsce, oraz pełne wymowy tło ruin Warszawy i Wrocławia („większość tych co z lekkim sercem krytykowali Kongres opuściła Polskę natychmiast po jego zakończeniu, nie zobaczywszy wcale straszliwych zniszczeń kraju, z którego wyszedł apel o pokój“) Russel wyowiada opinię, że „właśnie owo męczeństwo całych narodów określa sposób oceny rzeczywistości przez Polaków, Rosjan i innych delegatów krajów wschodnich. Ich nienawiść do podżegaczy wojennych była o tyle większa od naszej, o ile większe były ich cierpienia, a brak właściwych słów dla wyrażenia głębi ich uczuć sprawił, że to co mówili brzmiało w tłumaczeniu na obcy język dla niektórych z brytyjskich i amerykańskich delegatów z podwójną siłą“. Zdając w dalszym ciągu sprawę z przebiegu obrad Kongresu Russel podkreśla że „o ile większość starannie przygo-

towanych wypowiedzi kongresowych rzadko dawała okazję do bezpośredniej dyskusji, o tyle ostre przemówienie Fadiejewa, umiejscawiające gdzie należy odpowiedzialność za podżeganie do wojny wprowadziło wyraźny podział opinii i dało pole do ich starcia się w czasie Kongresu“.

Autor stwierdza wielką rozpiętość poglądów uczestników Kongresu i szerokość wachlarza opinii w łonie poszczególnych delegacji. „Należało się spodziewać — pisze — że postawienie przez Fadiejewa, na ostrzu noża sprawy odpowiedzialności za wojnę zaskoczy niektórych członków delegacji o bardziej mieszanym składzie. Ale doświadczenia 30 lat socjalizmu — pisze, cytując wypowiedź innego brytyjskiego uczestnika Kongresu, znakomitego biologa prof. Haldane — nie mogły nie wpłynąć w Związku Radzieckim na pewną różnicę sposobów formułowania myśli. Ów wzgląd, jeśli dodać do niego wielkie zbiorowe cierpienia, jakie przeszli ci ludzie, wyjaśnia dostatecznie ich bezkompromisową postawę wobec każdej wzmianki o następnej wojnie“.

Podkreśliwszy osobisty sukces, jaki odniósł, wygłaszając swe świetne przemówienie Illja Erenburg, T. Russel zaznacza, że mówcy z brytyjskiej delegacji wyrażali raczej swe poglądy osobiste niż poglądy stronnictw i reprezentowali opinie bardzo zróżnicowane. O słynnym przemówieniu A. J. P. Taylora wyraża się, iż „zawarty w nim atak na Związek Radziecki i obrona gospodarki amerykańskiej nie przyniosłyby, mimo przyrzeczności wygłaszającego do Labour Party, ujmę żadnemu z mówców torysowskich“. Podkreśla też, że „efekt jego wyartych formułek myślowych został całkowicie unicestwiony przez mówców, którzy nastąpili po nim: serię delegatów krajów kolonialnych ze wszystkich zakątków świata, z których każdy dorzucił swój głos oskarżenia, pod adresem praktyk współczesnego imperializmu. Dla tych ludzi stan wojny nie jest groźbą lecz realną rzeczywistością. Ich wypowiedzi na Kongresie wykazały całą płytkość argumentów, usiłujących dowieść, że imperializm nie istnieje“.

W duchu podobnym do wypowiedzi T. Russela brzmia w „Our Time“ głosy większości b. uczestników Kongresu.

„Wartość konferencji wrocławskiej polegała na tym — pisze znakomity fizyk prof. S. O. Bernal — że zogniskowała ona uwagę intelektualistów na realnych czynnikach, leżących u podłoża niebezpieczeństwa wojny w dniu dzisiejszym i że unikała powtarzania mętnych komunałów o znaczeniu zebrania się razem i nawiązywania wzajemnych kontaktów kulturalnych, co było isosem tylu kongresów pokojowych w przeszłości. Mówcy pochodzili ze wszystkich stron świata. Każdy dzielił się doświadczeniem własnego kraju. Było oczywiście wiele rzeczy, które się ze sobą pokrywały, ale właśnie to miało swój cel, podkreślając dobitnie i naświetlając z wielu stron wspólne rysy międzynarodowej sytuacji. Istotnym sensem kongresu jest stwierdzenie, iż zabezpieczenie pokoju osiągnąć można drogą tylko ustalenia, kto dąży do wojny i nieublaganej walki przeciw niemu. Na Kongresie nie było wątpliwości, gdzie należy szukać tych, którzy dążą do wojny. Źródło wojny leży w samej strukturze kapitalizmu i obecne jej niebezpieczeństwo wychodzi z głównych ośrodków kapitalizmu, jakimi są amerykańskie monopole.

Na Kongresie stało się jasnym, że tylko mniejszość brytyjskich i amerykańskich delegatów miała w stosunku do tego obiekty. Niektórzy zdawali się po prostu sądzić, że

skoro Amerykanie w przeszłości byli najdzielniejszymi obrońcami pokoju, nie mogą obecnie uczestniczyć w przygotowaniach do wojny. Jest to niedocenianie potęgi przymusu, perswazji i fałszu, jaki stosują amerykańska prasa, radio i film, znajdujące się na usługach wielkiego kapitału. Plan Marshalla jest w chwili obecnej wygodnym środkiem stabilizacji amerykańskiej gospodarki, zabezpieczenia antykomunistycznych rządów we wszystkich, biorących w nim udział krajach, oraz odbudowy przemysłu niemieckiego w przewidywaniu wielkiej ofensywy na Związek Radziecki. Z drugiej strony daje się propagować jako najszlachetniejsza z przedsięwziętych przez Amerykę akcji, mająca na celu odbudowę w całej reszcie świata pokoju i dobrobytu. W ten sposób wyobraża ją sobie prawdopodobnie większość Amerykanów; zgadzają się na obniżenie standardu życiowego przez zwykłą cen, na ograniczenie swych swobód — w tym przekonaniu. Businessmeni, którzy z nielalem dla siebie zyskiem finansują E. R. P. muszą uważać owe poglądy za coś niezwykle zabawnego.

Wiele innych zjawisk pozwala nam różnić stare oblicze kapitalizmu i imperializmu pod pokrywką obłudnych frazesów o wolności i demokracji. Po klęsce najbrutalniejszych i najjawniejszych szermierzów kapitalizmu w Niemczech hitlerowskich, inne starsze i lepiej maskujące się jego ośrodki dążą obecnie do przejęcia metod faszystowskich i to nie tylko w dziedzinie politycznej, ale i kulturalnej. Słowo faszizm nie jest frazesem. Stoją za nim określone stanowiska w takich sprawach, jak zagadnienie nierówności rasowej, z odpowiadającymi im poglądami w kwestii kobiecej, gloryfikacja wojny i wprowadzenie pierwiastków mistycyzmu do nauki. Wszystkie te rysy charakterystyczne w sposób jasny i z pewną dozą nawet brutalną otwartością występują u zwolenników obozu amerykańskiego.

W krytycznych miesiącach jakie mamy przed sobą — kończy prof. Bernal — wszyscy intelektualiści będą musieli stawić czoła zagadnieniu stojącemu przed nami niebezpieczeństwa wojny. Jeśli będą usiłowali mu się wykazać i nie zechcą przeanalizować go z całym realizmem, strach przed wojną i niemożność przewidzenia niczego dobrego na przyszłość zaciągną nieuchronnie na ich pracy lub ją sparaliżują. Co więcej, tak długo, jak długo pozostaną w tej sytuacji, będą oni faktycznie sojusznikami nieprzyjaciół pokoju. Swoją biernością i pesymizmem okazywać będą milczącą pomoc poczuciu nieunikności wojny, podkopującemu skutecznie siłę naszego oporu przeciwko niej“.

J. G. Crowther, sekretarz gen. Światowej Federacji Pracowników Naukowych, oraz członek wybranego na Kongresie Wrocławskim Międzynarodowego Komitetu dla kontynuacji prac kongresowych pisze: „Kongres Wrocławski był zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju, jeśli chodzi o różnorodność reprezentowanych na nim talentów i napięcie zainteresowań, jakie wzbudził. Odbył się na groźnym tle zrujnowanej wojną Polski w obliczu niebezpieczeństwa atomowego ataku na postępek. Sytuacja ta stworzyła żywą jedność wszystkich prawie jego uczestników, spotęgowała ich zainteresowanie Kongresem i pobudziła wielu z nich do wystąpienia, w których ich osobiste walory zabłysły z niespodziewaną siłą. Wrażenie i kontrast przemówień Erenburga i Picassa, Haldane i Blackmana, którzy wydobyli w nich pełnię swej tak odmiennego typu genialności, było przejmujące. Zdolność pobudzenia tych ludzi we Wrocławiu do owych świetnych wypowiedzi jest sama w sobie faktem o dużym znaczeniu. Nawet spośród specjalistów, zawodowo trudniących się ekscytowaniem ludzkiej wyobraźni, niewielu doceniło wymowę zniszczeń wojennych w Polsce, nim nie zobaczyli ich na własne oczy“.

Crowther — podobnie jak i inni — chwali organizację Kongresu i podkreśla, że pokonanie trudności organizacyjnych w mieście tak zrujnowanym jak Wrocław wymagało, prawie, że nadludzkiej siły. Podnosi też walory estetyczne wystawy wrocławskiej, uważając wysiłek odbudowy w Polsce za prawdziwie heroiczny symbol triumfu sił twórczych nad niszczycielskimi skutkami wojny.

Biolog, C. H. Waddington (Edynburg), krytolograf W. A. Wooster (Cambridge) i literat O. Stapledon podkreślają zgodnie duże znaczenie faktu spotkania i zbliżenia się z intelektualistami Związku Radzieckiego. „Moim zdaniem — pisze pierwszy z nich — jednym z najistotniejszych rezultatów debat na Kongresie była możliwość przekonania się, że Rosjanie umieją jednak traktować tych, którzy różnią się od nich poglądami politycznymi jako ludzi dobrej woli. Delegacja radziecka przybyła na Kongres z daleko sięgającą i ostro sformułowaną rezolucją, dla której mogłoby bez trudu osiągnąć zdecydowaną większość na Kongresie. Mimo to w obliczu zastrzeżeń niewielkiej stosunkowo liczby uczestników Kongresu okazała się skłoną do ustępstw i modyfikacji, które umożliwiły podpisanie jej przez większość brytyjskich i amerykańskich delegatów“.

„W powziętej na Kongresie rezolucji nie było niczego, stwierdza inny z delegatów, głośny kompozytor R. Boughton, co by (mimo iż nieznaczna mniejszość przeraziła się możliwością okazania zaufania komunistom) obrażało czykolwiek zdrowy rozsądek“.

Jeśli chodzi o usterki Kongresu, w wypowiedziach „Our Time“ powtarza się zarzut zbyt krótkiego czasu jego trwania oraz związanej z tym plenarności obrad, co uczyniło w praktyce utrudnionym zetknięcie się specjalistów poszczególnych dziedzin wiedzy i sztuki w węższych, bardziej dobranych gro-

nach. Zarzut ten, niewątpliwie słuszny, jeśli dotyczy postulatów uzupełnienia obrad plenarnymi spotkaniami w ściślejszym gronie, zmienia oblicze, kiedy staje się — jak to ma miejsce w wypowiedzi R. Hughesa — zarzutem wymierzonym bezpośrednio przeciwko celowości zbiorowego rozstrzygnięcia przez intelektualistów zasadniczych spraw życia publicznego i przybiera cechy tak dobrze nam znanego, groźnego wycofania się klerków z polityki, z pozostawieniem jej tzw. „fachowcom“.

„Artysta i uczone — pisze Hughes, którego wypowiedź na łamach „Our Time“ odbiega wyraźnie, wraz z wypowiedzią A. J. P. Taylora od reszty (podobnie jak osobnoimi były głosy grupy opozycyjnej na Kongresie) — powinni podchodzić do spraw polityki z należytą pokorą, raczej jako ci, co sami się uczą, niż jako ci, co chcą uczyć czy przewodzić. Powinni uznać, że jest to przedmiot, wymagający wiedzy specjalnej równie trudnej jak ich własna. Nie widzę powodu dla czego polityczne poglądy Picassa, Haldane czy R. Boughtona (żeby wymienić trzy sławne nazwiska) miałyby być bardziej godne szacunku, niż poglądy Tunneya (znany champion boksu — przyp. red.), Bradmana czy Clarka Gable“. Wymagający R. Hughes stwierdza, że polityczna dyskusja we Wrocławiu nie toczyła się na odpowiednio wysokim poziomie. „Jeśli ma się dyskusytować o polityce — pisze — wolałbym raczej słuchać polityków“.

A. J. P. Taylor występuje w „Our Time“ jako bezinteresowny zwolennik dyskusji dla dyskusji. Twierdzi, że tym co przeszkadzało mu na Kongresie najbardziej była ni mniej ni więcej tylko... powszechna jednodusność. Kongres — jego zdaniem — mógł być „albo rewizją zgodnych i z góry ustalonych poglądów, albo konfliktem między poglądami nie dającymi się uzgodnić“, albo wreszcie mógł zrodzić „prawdziwą“ dyskusję. Poważnej dyskusji, zdaniem Taylora, we Wrocławiu nie było, ponieważ „poważna dyskusja możliwa jest tylko pomiędzy tymi, którzy przyjmują, że jest więcej niż jedna droga wiodąca do prawdy“.

Wystąpienia obu niezadowolonych spotykają się na łamach „Our Time“ z ciętą i słuszną krytyką ze strony ostatniego z autorów zbiorowej wypowiedzi o Kongresie, matematyka Hymana Levy'ego.

„Dlaczego — pisze on — wrocławski Kongres Pokoju nie odbył się w Londynie na zaproszenie brytyjskiego rządu Partii Pracy? Było to jedno z pytań, które stały mi się narzucały, kiedy słuchałem wypowiedzi delegatów wschodniej Europy, Francji, Holandii, Indonezji, Wietnamu i Indii Zachodnich. Czy stało się to dlatego, iż nie wierzymy w wartość apelowania do sumień intelektualistów w obliczu niebezpieczeństwa wojny? Czy dlatego, iż nie wierzyliśmy by intelektualistami Polski, Czechosłowacji, Rumunii, Węgier, Jugosławii, Palestyny, Ameryki i Rosji mogli na konferencji taką przyjechać? Czy może dlatego, iż baliśmy się, że mogą przyjechać? Czy baliśmy się tego, co mogło być powiedziane o Malajach, Wietnamie, Indonezji, Grecji, o bazach amerykańskich w Anglii? A może tego, że prasa wschodnio-europejska mogłaby uznać Kongres tego rodzaju za trick kapitalistyczny podobnie jak nasza prasa uznala Kongres Wrocławski za trick komunistyczny? —

Pozostawiam panu A. J. Taylorowi rozstrzygnięcie czy odpowiedź na te pytania związana jest ze sprawą wolności słowa i przekonaniem o dobrej woli i dobrej wierze przeciwnika; i panu R. Hughesowi rozważenie, czy uznanie polityki za sprawę wyłącznie specjalistów — w rodzaju pana Bevana — nie jest dowodem małej wiary w naszą demokrację i nasz naród. Wyobraźmy sobie, że Anglia została obrócona w stos gruzów podobny do tych części Polski, które widzieliśmy. Czy miałbym demokratycznie powątpiewając w swoją kompetencję ginąć wśród ruin, pocieszając się myślą, że politycy wiedzieli w końcu wszystko za mnie najlepiej? —

Szczęśliwy p. Hughes w swej politycznej naiwności, która może tak łatwo zrzucić z siebie odpowiedzialność i kontemplować w błogiej równowadze ducha perspektywę tej wyspy, stającej się areną śmiertelnych zapasów, w których chodzi o nasze istnienie! Szczęśliwy p. Taylor, który może, wstępując w dolinę śmierci, jaką jest wschodnia Europa spokojnie poucażać jej mieszkańców o wolności słowa i myśli, jak gdyby lkwiał nadal zamknięty w klasztornym zaciszu swego gabinetu w nietkniętym wojną Oxford College! Szczęśliwy p. Taylor ze swą niczym nieograniczoną zdolnością tkwienia w myślowej abstrakcji!

Co przywozłem ze sobą z Wrocławskiego Kongresu? Nie tylko psychologizmy i uczuciowy wstrząs, wynikił z zetknięcia się twarzą w twarz z nielichymym zniszczeniem, dalekim od czegokolwiek, co można zobaczyć w Anglii. Nie tylko przekonanie, że ci, co to przeżyli, musieli wytworzyć sobie skalę wartości całkowicie odmienną od tej, do jakiej przyzwyczailiśmy się my, którzy nie doświadczyliśmy nigdy upokorzenia tyrańskiej i bestialskiej okupacji, ani niebezpieczeństw walki podziemnej. Nie tylko świadomość, iż przekonanie o wojennych zamiarach tych ludzi jest zwykłą ślepotą i szaleństwem. Wszystkie te rzeczy biorę pod uwagę równie.

Rzeczą jednak najważniejszą dla każdego czy zgadza się z oceną sytuacji przez Kongres czy nie, był fakt doskonale oczywisty, że nie ma na kontynencie europejskim człowieka, który w razie wojny mógłby szczerze i dobrowolnie walczyć przeciwko Związkowi Radzieckiemu“.



# O EKLEKTYZMIE I OBIEKTYWIZMIE

(wokół III Zjazdu Związku Kół Polonistycznych)

„Patrzyłem na niekończące się kilometry ruin Warszawy i Wrocławia, myślałem o zwęglonych zwłokach setek tysięcy mieszkańców warszawskiego ghetta — i widziałem Londyn, Manchester, Glasgow, Birmingham, Liverpool. Nie jest to sprawa uczucia, lecz zwykłej oceny oczywistych faktów, z którymi zetknąłem się oko w oko.

Zacząłem oceniać w sposób jaki nie oceniałem nigdy przedtem, jak bardzo akademickie były nasze akademickie zagadnienia, jak bardzo nieświadomi ostrza katastrofy byli wszyscy moi siedzący u siebie w domu przyjaciele i jakie były by ich reakcje, gdyby to naprawdę zrozumieli. Widziałem już raz ten brak wyobraźni w roku 1914. Widziałem go po raz drugi z groźniejszymi konsekwencjami w latach, które poprzedziły rok 1939. Miałbym być świadkiem ostatniej jego postaci w roku 1948?

Byliśmy więc we Wrocławiu, my, tłum intelektualistów, artystów i pisarzy, niczym gromada nieprawdopodobnych niemowląt, prowadzeni za rękę w obliczu ruin i śmierci przez tych, którzy przeszli ową próbę oraz informowani w sposób prosty i stanowczy, że ci, którzy słowem i czynem zachęcają czy choćby tolerują możliwość powtórzenia się tego rodzaju zbrodni, są najgorszymi i najbardziej niebezpiecznymi wrogami rodzaju ludzkiego. Czy może ktoś temu zaprzeczyć? O co można się przy tym spierać? Czy było coś co p. Taylor chciał powiedzieć i czego powiedzieć mu nie dano? Czy fakt, że został zaproszony, nie dowodzi, iż gospodarze przyznali mu pełne prawo do jego poglądów i ich głoszenia?...

„Powracam do kwestii dlaczego Kongres Pokoju nie odbył się w Londynie na zaproszenie brytyjskiego rządu Partii Pracy. Czy nie jest faktem znamiennym, że pierwszy krok w tym kierunku uczyniono z tamtej strony tzw. „żelaznej kurtyny“ i że musieliśmy jechać na Kongres jak studenci, bez grosza przy duszy, bez „błogosławieństwa“ Bank of England, uzależnieni od gościnności jednego z najciężiej dotkniętych krajów w Europie? Kurtyna nie jest z żelaza, ale ze złota.

Nie będę opowiadał historii pożałowania godnych intryg, przedsięwziętych z tej strony kurtyny, celem postawienia delegacji brytyjskiej w położeniu jak najdramatyczniejszym, ani o tym jak wstydono się to potem ujawnić. Nie chcę wymienić nazwiska dobrane znanego dziennikarza, który zaproszony jako członek grupy brytyjskiej na Kongres, uzyskawszy podpis pewnej liczby naszych delegatów pod projektem „rozłamowej“ rezolucji, który miał być jeszcze dyskutowany, rozmyślnie podał go do prasy wbrew życzeniu sygnatariuszy i przed jego przedyskutowaniem. Nie chce mówić o tym, jak intryga ta została publicznie zdemaskowana i jak brytyjska delegacja musiała wysłać go celem odzyskania owego dokumentu i ratowania swego honoru. Nie chcę opowiadać jak p. Hughes na swoją odpowiedzialność publicznie przeprosił zdziwioną salę kongresową za swój nieświadomy, jakże naiwny udział w tym akcie.

Była to ciemna chmura na jasnym poza tym horyzoncie, ale fakt, iż miała miejsce wystarczająco, by dowiedzieć się, że pewne ciemne sily nie ustają w pracy, której celem jest stoperdowanie każdego pokojowego kroku, jaki wychodzi od strony naszych tzw. nieprzyjaciół, a tak niedawno jeszcze sojuszników i bohaterów. Dlaczego musimy milczeć w tej sprawie, kiedy nasza brytyjska prasa mówi wciąż swoją historijkę o tym, że cały Kongres był komunistycznym trickiem? Czy rezolucja, która mówi, że wartości naszej kultury są w niebezpieczeństwie, nie mówi prawdy? Rozpadają się one w naszych oczach.

Nie ma czasu do stracenia. Wołanie o pokój, które rozległo się we Wrocławiu, znajdzie echo wszędzie i należy wszcząć akcję, której celem byłby wspólny front ludzi dobrej woli dla zapobieżenia ostatecznej katastrofie.

Poza dyskusją w „Our Time“ ciekawy trójgłos na temat Kongresu Wrocławskiego znajdujemy też w październikowym numerze wydawanego przez British Polish Society miesiecznika New Poland, gdzie zabierają głos filozof, powieściopisarz i historyk: O. Stapledon, Jack Lindsay i Christopher Hill, podkreślając zgodnie pozytywny sens Kongresu, gościnność przyjęcia jakiego doznali w Polsce, oraz wrażenie, jakie sprawiło na nich zniszczenie Polski, a także zapęt i tempo jej odbudowy.

opracował i przełożył ksm.

## TREŚĆ NUMERU 48:

Andrzej Stawar — Literat i wieszcz; Diderot — Z „Salonów“; Auguste Cornu — Na drogach wyzwolenia człowieka; Władysław Broniewski, Jacek Bocheński, Konstanty Ildefons Gałczyński, Krzysztof Gruszczyński, Leopold Lewin, Leon Pasternak, Stanisław Wygodzki — Pieśni na Zjednoczenie Partii Robotniczych; Stanisław Urbanczyk — Z zagadnień staroruskiej literatury; Leon Gomolicki — Autentyczność „Słowa o Pułku Igora“ w świetle badań radzieckich; Ryszard Matuszewski — O „Sezonie w Alpach“; Henryk Vogler — Nowe wiersze Jastruna; Jacek Bocheński — Miałem szczęście; B. E. Sydow — Chopin w piśmiennictwie światowym; Mieczysław Jastrun — Margaretta Fuller; Korespondencja; Przegląd prasy; Noty.

**N**IEJEDNOKROTNIJE już stwierdzano w artykułach o niedawnym Zjeździe Związku Kół Polonistycznych Polskiej Młodzieży Akademickiej, że zwrot w kierunku eklektyzmu stanowi aktualny metodologiczny manewr odwrotowy antymarksistowskiego odłamu młodej polonistyki. Czytelnicy „Kuźnicy“ znają skrótove dzieje ideologii naukowej Związku z relacji Kandyda w 47 n-rze pisma. Coroczne zjazdy młodzieży polonistycznej były etapami narastającej ofensywy literaturoznawczej myśli marksistowskiej. Listopadowy Zjazd przesunął oponentów na ostatnie linie obronne, na pozycje eklektyzmu. Nie kwestionuje się już wartości naukowych marksizmu, broni się tylko liberalistycznie pojętego „równouprawnienia metod“. Konsekwentna obrona mechanistycznego „uzupełniania“ rezultatów badawczych — osiągniętych na drodze określonego postępowania naukowego — wynikami metody badawczej, wspartej o diamentralnie różną teorię kultury, zalamala się pod koniec Zjazdu pod ciosem krytyki starszych marksistów z Instytutu Badań Literackich. Jasno wystąpiła zasada naukowej poprawności badania monometodycznego, absurdalność bagatelizowania istotnych różnic filozoficznego zaplecza rozbieżnych dyrektyw metodologicznych, beztroška „skrupulatność“ badacza, dążącego do „pełnego zobrazowania“ dzieła, do powiedzenia możliwie „wszystkiego“ — choćby każde zdanie tak skonstruowanej „wszechstronnej“ analizy przeczyło poprzedniemu. Niesprzeczność sądów o rzeczywistości nie została bowiem dotychczas uznana za obowiązujący rygor postępowania naukowego przez naszych przeciwników ideowych.

Drugą fazę ideowej ewolucji oponentów znamionowało wyciągnięcie praktycznych wniosków zarówno z krytyki jałowego eklektyzmu, jak i z przeformowanej przez marksistowskich dyskutantów zasady podporządkowania poszczególnych etapów analizy literackiej jednolitej koncepcji „człowieka — twórcy kultury“. Na ostatnim posiedzeniu przyszło rewidować oświadczenie: „— a ponieważ my mamy inną niż marksiści koncepcję człowieka...“ Kwołicka pozycja po długich poszukiwaniach wpadła nareszcie na pomysł montowania „metody personalistycznej“. Chwilowo skończyło się na zapowiedziach, bo sugestii na temat „katolickiej koncepcji człowieka“ nie nasuwał żaden z referatów bronionych na zjazdowych dyskusjach. Reprezentowały one jedynie podejrzany zlepek burżuazyjnych systemów idealistycznych schyłku zeszłego wieku, lub domorośli socjologizm nie oparty o żaden system naukowy.

Zjazd poświęcono poezji dwudziestolecia międzywojennego. Zarówno aktualność tematyki, jak i napięcie sporów metodologicznych sprawy, że obrady Zjazdu toczyły się w atmosferze bardzo ożywionej. Odczytano osiem referatów historyczno-literackich (o poetach „Skamandra“, o poezji Broniewskiego, o języku poetyckim K. I. Gałczyńskiego, o twórczości J. Czechowicza na tle grupy „Reflektor“ i o ewolucji poetyckiej grupy „Zagary-Piony“, o ideologii poetyckiej B. Leśmiana, o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i poezji S. Napierskiego) oraz pracę z zakresu pedagogiki — o dydaktyce poezji w nauczaniu szkolnym. Wszystkie referaty grupy opozycyjnej różniły się praktycznie stopniem za-

stosowania eklektyzmu badawczego. Naiwny psychologizm był we wszystkich tych metodologicznych miksturach składnikiem nieodzownym.

Dwie dyskusje zjazdowe były szczególnie pouczające, jeśli chodzi o robocze wartości psychologizmu. Dyskusja wokół referatu o Broniewskim wykazała dowolność zabiegów psychologizacyjnych, które pozornie weryfikują najbardziej fantastyczne tezy, jak w danym wypadku wyższość poezji „osobistej“ Broniewskiego nad jego poezją „społeczną“. Praca o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, określona gatunkowo przez referentkę jako „sylwetka literacka“, była nie tylko przykładem traktowania dokumentu literackiego jako psychogramu twórcy. Praca ta stanowiła jednocześnie pouczający przypadek zabiegów „uzupełniających“. Wyjaśniliśmy wszystkie cechy twórczości Pawlikowskiej odpowiednimi dyspozycjami psychicznymi (wśród nich nawet szczególną „dyspozycją do metafory“) zmontowała referentka dla spokoju sumienia drugi, naszkicowany co prawda tylko aluzyjnie ciąg argumentacyjny, wyjaśniający specyficzność poezji Pawlikowskiej: pozycja społeczna, kultura środowiska, „dosyt kulturalny“ itp. itp. Te dwa, wykluczające się wzajem merytorycznie fałszywe dowodowe, podporządkowane zostały jednak ogólnej zasadzie ułożamiania dynamiki rozwoju poezji z dynamiką przeżyć autora (oczywiście tezy, iż praw społecznych rozwoju poezji nie wolno identyfikować z prawami rządzącymi światem subiektywnych przeżyć autora, nie należy rozumieć jako próby eliminacji czynnika psychologicznej genezy badań literackich. Właśnie i w dokumencie psychologicznym trzeba widzieć swoiste odbicie rzeczywistości społecznej).

Dyskusje zjazdowe niejednokrotnie poruszały kapitalną sprawę dynamiki rozwoju poezji. Obnażanie jej mechanizmu w referatach opozycji było jednym z najpoważniejszych argumentów, podważających rzekomy egocentryzm badań — jak to mówiono na Zjeździe — „naszych kolegów niemarksistów“. Żaden z referatów nie przyznałby się zapewne do sformułowanej powyżej zasady ewolucji poetyckiej. Brak zrozumienia własnych założeń był obok uparcie powtarzanych frazesów o „równouprawnieniu metod“ najistotniejszą cechą charakterystyczną metodologicznego ryzostunku naszych przeciwników. Dezorientacja teoretyczna, jaką młodzież wnosi ze studiów uniwersyteckich, wywołała jako konieczne następstwo specyficzną cechę strukturalną Zjazdu: dyskusje zjazdowe przeobraziły się — zdaniem ogółu — w rodzaj „seminarium marksistowskiego“.

Oprócz sprawozdań lewicowej polonistycznej ukazała się dotychczas ze strony opozycji jedna tylko relacja o Zjeździe (J. Woźniakowski „Dyskusje akademickie“, „Tygodnik Powszechny“ Nr 191) Sprawozdawca o przyszłości lansowanej przez swój obóz „metody personalistycznej“ mówi z dużą ostrożnością. Te pełne rezerwy zapowiedzi programowe stanowią obok części ściśle informacyjnej jedynie słuszne partie artykułu. „Wyczerpująca“ krytyka metody marksistowskiej zdradza bowiem rażąco brak orientacji w jej najistotniejszych założeniach, „Postawa Greka“ jako chwyt taktyczny znakomicie ułatwia krytykę, posiada jednak wartość polemiczną na krótką metę.

Neohellenizm p. Woźniakowskiego przejawia się przede wszystkim w upartym redukowaniu praktyki badawczej literaturoznawstwa marksistowskiego do jego najwulgarniejszych, od dawna przewyższonych, przejawów mechanicznego odnośnienia zjawisk literackich do sytuacji ekonomicznej. Jedynie tymi spóźnionymi kontaktami p. Woźniakowskiego z tzw. wulgarnym socjologizmem da się wytłumaczyć zdanie, że „sytuacja ekonomiczna (podkr. M. J.) warunkuje bez reszty twórcę i jego dzieło“, lub pomysły na temat rzekomego przymowańa przez marksizm „całkowitego determinizmu historycznego“ kulturo-twórczej działalności człowieka.

Podobną dezorientację zdradzała praktyczna egzemplifikacja antymarksistowskich zastrzeżeń sprawozdawcy, dokonana na materiale referatu o poetach „Skamandra“, opracowanego przez tzw. w artykule p. Woźniakowskiego „frójkę łódzką“. Nie moja rzeczą jest polemika z p. Woźniakowskim na temat wartości naszej pracy. Oceny dokonało i — być może dokona — wielu kompetentniejszych krytyków. Pragnę jednak przy okazji sprostować pewną dość zasadniczą nieścisłość faktyczną, która nie zostanie zapewne — wobec znanego „obiektywizmu naukowego“ krytyki katolickiej — sprostowana przez samego autora nawet wówczas, gdy opublikowanie naszej pracy pozwoli mu skorygować skutki wszelkich „nieodstyszeń“ zjazdowych.

Ostatecznie można wybaczyć, biorąc pod uwagę zasady „obiektywizmu po grecku“, że p. Woźniakowski regularnie tracił stuch przy odczytywaniu ustępów poświęconych analizie formalnej, co pozwoliło mu stwierdzić, że referat uwzględniał wyłącznie „zawartość treściową“, oraz że nie był łaskaw zauważyć dążenia referentów do odczytania obiektywnej funkcji klasowej utworu, a natomiast bardzo pochopnie był łaskaw przypisać nam absurdalny w ramach metody marksistowskiej schemat badawczy „co autor miał na myśli“. Trudniej jednak wyjaśnić genezę rewidacyjnego odkrycia, że „schemat periodyzacji twórczości „Skamandrytów“ nakreślił już, jak mi się zdaje, Andrzejewski i Fryde w swojej antologii poezji“. Nam natomiast „się zdaje“, że po pierwsze sam Fryde, a po drugie w przedmowie, a nie w antologii, a po trzecie nakreślił „schemat“ zupełnie inny, interpretowany w dodatku w sposób zupełnie odmienny. Teza Frydego o klasycyzmie Skamandrytów, który nastąpił po przewrocie majowym w r. 1926 wskutek ich społecznej nominacji na oficjalnych piewów państwowości, niewiele ma chybą wspólnego z naszym akurat odwrotnym poglądem na sprawę „przełomu Skamandra“. W referacie staraliśmy się przeprowadzić tezę o zalamaniu się poetyki „Skamandra“ wskutek politycznego różnicowania się inteligencji mieszczańskiej, którego przejawy wystąpiły już w r. 1923, równoległe z opadnięciem europejskiej fali rewolucyjnej.

Jednakże ani Fryde, ani p. aptekarzowa z Pyrzogów, która w tym czasie przestała czytywać Tuwima, ani zapewne do tej pory p. Woźniakowski, ani wiele innych osób, wiedzących istotnie wcześniej niż my o przełomie w twórczości Skamandrytów — nie wiedzieli dlaczego to nastąpiło. Na to pytanie odpowiedzieć może tylko marksistowska metoda badań literackich.

Maria Janion

# Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

## Państwowy Teatr Powszechny

ILIA Erenburg zna Francję i stosunki francuskie, jak znać je może tylko człowiek, który sporą część swojego życia spędził w tym kraju. Jako felietonista Erenburg zawsze namieniał interesuje się losom Francji, jako powieściopisarz — niejednokrotnie wybiera temat francuski. Ostatnio dwie powieści Erenburga, „Upadek Paryża“ i „Burza“ (właściwszy byłby tytuł pol-

ski „Zawierucha“) dają przekrój społeczeństwa francuskiego w przeddzień wojny i w czasie okupacji. Sztuka „Lew na placu“ odnosi się do Francji powojennej, ale ma znacznie skromniejsze ambicje. Rzecz dzieje się w mieście prowincjonalnym, w czasach najnowszych, na tle „marshalizacji“ życia francuskiego. W galerii figur prowincjonalnych odnajdujemy w zmniejszonym formacie te

samą kapitulancą usłużność wobec dolara i ten sam strach przed klasą robotniczą, co w wyższych sferach politycznych, tylko że w odmianie bardziej obnażonej i doprowadzonej do groteski — szulstwa. Występuje więc burmistrz pan Valois, reprezentant prowincjonalny blumowski „socjalizmu“, miejscowy champion „trzeciej sily“, pan Deslos, fabrykant likierów, entuzjasta generała de Gaulle; pan Richard, który podczas okupacji zbożcił się na skupie majątków żydowskich i nawrócił się na wiarę w Opatrzność Boską; pan Piquet, redaktor miejscowej gazety. Wszystkie te osoby, potrosze podmiotki kollaboracja, obokoczoły nowego, amerykańskiego pana, który zjawia się w osobie bezczelnego bubka z miasta Jackson, aby pouczać Francuzów o amerykańskich porządkach i amerykańskiej cywilizacji. Drobny bisnesmen z Jackson, uchodzący w tym miasteczku za wielkiego wpływowego rzeczoznawcę przysłanego z Ameryki w ramach planu Marshalla. Zastępca burmistrza, degaullista, witać go oficjalnie w radzie miejskiej, odczytuje prawie dosłownie ten sam tekst, którym witał dyktarza hitlerowskich. Znalazły się w szałce Erenburga jeszcze inne zjadliwe i pikantne szczegóły: bubek amerykański wyrzuca za drzwi starego arystokratę francuskiego, bo nie podoba mu się kolor jego paznokci, świadczący jakoby o domieszcze krwi kolorowej. Rzekomy rzeczoznawca wzamian za obietnice rozmaitych wiktuałów z Ameryki, obietnice pisane na wodzie, wydłuża posażek lwa ustawiony na placu miejskim w wieku XV, zabytek chwasty narodowej i kultury francuskiej.

Ta afera z zabytkowym posażkiem lwa, która wylania się z biegiem akcji, ma wszelkie szanse na to, aby nabrać znaczenia symbolicznego, nie niszcząc realistycznych założeń sztuki. I rzeczywiście urasta do symbolu — ale ramy sztuki pękają, Erenburg nie



Teatr Powszechny w Łodzi. Ilia Erenburg „Lew na placu“. Scena z V aktu



utrzymuje się w realistycznych założeniach aż do samego końca. Na scenę wchodzi robotnicy i — likwidują sztukę. Zaczynają przemawiać wprost do widowni.

Przyczynę tej wolty widzę w tym, że wybrany przez Erenburga odcinek życia jest jednak niewspółmierny z treścią ideowo-polityczną, którą autor chciał podać zgodnie z rzeczywistością dzisiejszą.

Nie jest bowiem prawdą, że w jednej kropelce odbija się świat cały, że w wykrojonym odcinku prowincjonalnego życia można ująć całą strukturę społeczno-polityczną kraju. W kropelce deformuje się obraz świata. W miasteczku prowincjonalnym nie widać głównych sił kapitału i finansjery, które pchają Francję w objęcia marszalizacji; tych właśnie sił, które tak doskonale Erenburg potrafi ukazać w swoich powieściach. Co więcej, w kompozycji sztuki, rzeczywista przeciwwaga tych sił, klasa robotnicza prowadzona przez partię komunistyczną nie znalazła dostatecznego odpowiednika w ramach realistycznych założeń. Aby unaocznić tę siłę, Erenburg uciekł się do tradycji i formy romantycznej. Za kulisami sztuki, gdzie poza galerią mieszczańskich figur prowincjonalnych dzieje się coś tajemniczego. Krąży legenda o Marie Lou, o komunistce, która w biały dzień zastrzeliła gestapowca i została zabita przez okupantów. Krąży wieść — „wieść głucha między ludem”, jakby powiedział romantyk polski, że Marie Lou nie zginęła, że Marie Lou wróciła. Panowie na scenie boją się Marie Lou... Słowem — „widmo krąży po Europie — widmo komunizmu”, te pierwsze słowa „Manifestu Komunistycznego” stają jako żywo w pamięci. Ale o dacie „Manifestu” do czasów, kiedy wyznawcy „rzeczywistej siły” i degaullistów przyjmują w radzie miejskiej amerykańskiego oszusta, minęło dokładnie sto lat, dziś już nie krąży widmo, ale stoi — i kością staje w gardle imperialistom — realna siła. Nie znajdując dla niej miejsca w kompozycji sztuki, Erenburg przeznaczył dla niej nadbudówkę w finale, ukazał ją w stylu romantycznym, co więcej, zaakcentował umowność całej sztuki, niedostateczność tej „rzeczywistości”, która dzieje się w świecie prowincjonalnych kapitulacji, bo kiedy pod koniec piątego aktu robotnicy wchodzi na scenę, oświadczają „Dostyc gadałicie przez tyle lat i przez pięć aktów”.

Afera ze sprzedażą pamiątkowego lwa mówi widowni, jak łatwo burżuazja francuska wyżywa się skarbów przeszłości narodowej, dorobku swojej kultury. Dziś już nie ona jest strażniczką kultury narodowej, tę rolę przejął ktoś inny. Przebieg akcji ilustruje tę słuszną diagnozę, ale tylko od strony negatywnej. Przebieg akcji nie wyłania realistycznych okoliczności, które by unaocznily widom, że w tę rolę strażnika kultury narodowej wchodzi obecnie klasa robotnicza. Strajk powszechny z wyłączeniem świata wybuchu z innymi, szerszych powodów, niż afera ze sprzedaniem zabytkiem. Połączenie tego motywu za sprawą lwa ma już raczej charakter symboliczny. I w tym właśnie momencie pękają szwy realistycznego kostiumu sztuki Erenburga.

„Lew na placu” jest zbyt odosobnionym przykładem sztuki polityczno-społecznej na temat dzisiejszej Francji, aby na podstawie tego doświadczenia teatralnego można było sądzić, że dzisiejsza walka francuskiej klasy robotniczej nie nadaje się do realistycznego wyrazu na scenie i musi przybierać wyraz romantyczny. Uogólnienie takie może poszłoby na ręce tym, co sądzą, że w zetknięciu z tematem dzisiejszego Zachodu metoda realistyczna odmawia posłuszeństwa, ale byłoby trochę przesadne.

Posługując się zbyt szerepym zasobem założeń realistycznych, Erenburg zupełnie świadomie poszedł na ostry rysunek satyryczny posunięty aż do groteski. I zupełnie świadomie starał się nawiązać do tradycji gogolowskiego humoru. Sytuacja oszusta w „Lwie na placu” przypomina „Rewizora”. Akcja na podobny przebieg i niektóre sceny są parafrazą Gogola. Do starych dziewiętnastowiecznych tradycji należy też wyposażenie postaci w kilka myśli przesładowczych, w powtarzane do okazji do okazji te same powiedzonka, tylko, że nie są to już sentencje moralne, ale obsesje natury politycznej. Niektórych przesładowczych myśli o bombie atomowej, innych — a tych natrętnie — myśli o komunistach. Mimo wyraźnej apelacji do tradycji teatralnych, dowiep słowny przeważa nad humorem sytuacyjnym, na który Erenburg, jak mogłem się zorientować, wcale nie nastaje.

A zorientować się było dość trudno na prapremierze tej sztuki w Państwowym Teatrze Powszechnym. Reżyserowi Karolowi Borowskiemu przytrafiło się to, co może się przytrafić najbardziej doświadczonym reżyserom; opacznie ujął styl sztuki; szukając na gwalt komizmu sytuacji, doprowadził dwa pierwsze akty do farsy, do niewydarzonego skeczu, tak, że bardzo źle przygotował widza do dwóch następnych, całkiem udatnie pokazanych, bez sytuacji farsowych, których w sztuce Erenburga w ogóle nie ma. Ale w tych dwóch pierwszych aktach zaginęła prawie cały humor słowny. Polityczne wyznania bywałych kawiarnianych przewijające się od niechętnia, jak to bywa przy kartach lub dominie, przemieniły się w jaskrawe plakatowe wypowiedzi. Obsesyjne myśli i powędzonka brzmiały jak alarm o pogotowie ratunkowe. Robotnicy, którzy w ostatnim akcie weszli, aby spokojnie (tak to sobie wyobrażam) zlikwidować umowną „rzeczywistość” teatralną, zachowywali się jak rozgorączkowany bokserzy. Za dużo wyładowania energii jak na sprawę jednego bubka z Jackson. Usuwanie dekoracji to przecież jeszcze nie rewolucja. Wydaje mi się również, że niepotrzebnie wyciągnięto z tej szpary

teatralnej, która zarysowuje się w finale, wszelkie konsekwencje romantyczne: wyodrębniono oddzielny epilog, obraz grupowy z deklamacją. Liczono widocznie na to, że takie obrazy działają wzruszeniowo na instynkt rewolucyjny widowni.

Niepotrzebne natężenie sytuacji, myśli, słowa — odbiło się na całym spektaklu. Nawet motyw przypadkowej rekawiczki w drugim akcie, znajdywanej kolejno przez każdą kobietę na scenie, zamiast odegrać rolę drugorzędnej rekawiczki, o którą w dialogu zachacza się mimochodem, urasta do naczelnej roli, wytwarza się jakiś odrębny skecz, uwieczniony przez panią Piquet, która po biła swoim parasolem rekord złego smaku. W wielu wypadkach nie tyle gra aktorów, ile sam dobór obsady, przeprowadzony jakby à rebours, przyczynił się do zastąpienia kolorytu lokalnego naszym, tutejszym zaciekami farsowym. Panna Bouboule, głupluka prowincjonalna „poule” francuska — zachowywała się tak, jak mały Kazio wyobraża sobie straszne kurtyzany. W niebawymych zalotach formalnie dusiła przybysza z Jackson (Antoni Żukowski), który byłby całkiem udanym okazem amerykańskiego bubka, gdyby znalazł odpowiednie tło w otoczeniu. Nieśwety, pan Valois (Aleksander Olecki), mimo niewątpliwej swady, bardziej przypominał hotelarza niż burmistrza francuskiego, pan Desios (Zygmunt Zintel) fabrykant wódek, dobrze utrzymywał się w charakterze, ale raczej w charakterze zasuszonego reagenta, a pan Richard był dla mnie postacią dość tajemniczą pod względem socjalnym i towarzyskim. Dziennikarz Piquet tracił partykularizm, ale nie francuskim. Natomiast René Vivien (Zbigniew Jabłoński) z nieoczekiwanym wyczuciem odegrał w trzecim akcie zabawny epizod młodego literata, który brodzi między surrealizmem a egzystencjalizmem, gardzi Ameryką i marzy o Ameryce, a poza tym sprzedaje papierosy.

W dekoracjach Tadeusza Sadowskiego — nie wiem, dlaczego ściany przeważnie stały na ukos. Prawdopodobnie miało to oznaczać upadek starej burżuazji Francji. Ekspresjonistyczna maniera na ukos, zrodzona po pierwszej wojnie, pokutuje na naszych scenach prawem nowoczesnego konwenansu i straszy widzów przedpotopowym modernizmem.

Wystawiając „Lwa na placu”, Teatr Powszechny podjął inicjatywę godną uznania i naśladowania. Na realizacji zaciążyła nieznaną mi obyczajowego tego kraju, w którym się rzecz rozgrywa, i wieloletnie oderwanie od tradycji rosyjskiego humoru, do których Erenburg nawiązuje. Myślę, że ten kierunek jest bodaj ważniejszy i w tym kierunku teatry powinny solidarnie pracować.

Adam Ważyk

## PIERWSZE PORYWY

W ŚRÓD nowych przekładów z literatury radzieckiej, jakie w ostatnim czasie ukazały się na półkach księgarskich, pozycję bardzo interesującą stanowi powieść Konstantego Fiedina „Pierwsze porywy”.

Fiedin autor popularny i ceniony w ZSRR, u nas znany jest mniej, czytelnik polski ma więc teraz okazję zapoznać się z wszechstronnym talentem tego pisarza. W swej powieści autor sięga do lat bezpośrednio poprzedzających pierwszą wojnę światową. W prowincjonalnym mieście rosyjskim nie czuje się grozy narastającej w tamtych dniach. Glucha prowincja wegetuje po swojemu. Mieszkw, kupiec i groszorb, który „lubł prac, nie przepuściwszy od chłopięcych lat ani jednego dnia pracy, bez dodania dziś choćby kamyczka do tego, który był odłożony wczoraj”, Witia Szubnikow i jego ciocia, filozofujący autor Cwietuchin i blakający się w poszukiwaniu „tołstowskiej prawdy” literat Pastuchow, kroczą obok narastającego wokół nich rewolucyjnego nurtu. Tego nurtu starają się nie widzieć. Ale „pierwsze porywy” rewolucyjne, choć stosunkowo jeszcze słabe, nieubłaganie formują bieg historii, wciągają w swe tryby tych ludzi.

W powieści nie spotykamy właściwie rewolucjonistów w pełnym tego słowa znaczeniu, który by występował w roli głównej, lub przynajmniej jednej z głównych postaci. Jedyną świadomą rewolucjonistą — ślusarz Ragozin, jest postacią raczej epizodyczną. Ale powiew narastającej rewolucji odczuwają bohaterzy powieści, on bowiem przesadza ich losy, on porywa za sobą jednostki najwarteściowsze. Autor Cwietuchin i literat (ko-medio-pisarz) Pastuchow, blakający się, w przerwie między jedną i drugą pijatyką, po

\*) Konstanty Fiedin „Pierwsze porywy” — przekład Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza, Warszawa, 1948 — Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”.



## OBRADOWALI KSIĄŻĘTA KOŚCIOŁA...

DLA MIESIĄCE temu obradujący podówczas we Wrocławiu episkopat polski opublikował list pasterski, podpisany przez dwudziestu trzech biskupów i administratorów apostolskich, wśród których jeden nie waha się używać nadal tytułu „książe”. List pasterski zajmuje się nie tylko sprawami duszpasterskimi, ale w archaicznych tyradach, jak gdyby stworzonych dla archaicznych myśli, wypowiada stanowisko kościoła wobec ważnych zagadnień współczesnych.

„Kazała nam Opatrzność — czytamy — żyć w czasach wielkiego na świecie zametu i nieładu. Ludzkość zmęczona straszliwą wojną nie może się doczekać spodziewanego ładu. Niejedno serce trwoży się i popada w odrętwienie”.

Nie miejmy zbyt wielkiego zaufania do stylu, który orzekając o zagadnieniach współczesnych posługuje się archaicznymi tyradami. Bywa on zazwyczaj tylko zasłoną dymną właśnie dla archaicznych myśli i marzeń o powrocie do czasów króla Cwieczka. Myśl, która nie chce kluczyć, posługuje się mową codzienną albo przynajmniej współczesną terminologią publicystyczną. Terminologia archaiczna posiada zawsze podwójne dno: słowa niby pełnią swą rolę dosłowną, ale jednocześnie uciekają w przeszłość, bratają się z niejasnościami Biblii i ojców Kościoła, na skutek czego sens właściwy tkwi w gruncie rzeczy pomiędzy wierszami, podczas gdy sens pozorny ślizga się grzeecznie po powierzchni słów i składa dyplomatyczne ukłony.

Czytajmy więc dalej: „Pragniemy przestrzec Was — orzeka wrocławski list pasterski episkopatu polskiego — kochani Bracia i Siostry, przed nastrojami smutku, przed myślami rozpaczyliwymi, przed nierozważnymi czynami. Przymusowa pokuta łamie sprawiedliwy Bóg grzeszne upory ludów. To, co na globie czeka na rozstrzygnięcie jako potworna gra przeciwnych sił, skończy się tryumfem tego, co dobre, zdrowe i święte”.

Sens właściwy jest chyba jasny: poczekajcie tylko, a to wszystko się dobrze skończy. Wróćcie czasami do Kościoła. Ale sens pozorny jest bez porównania układniejszy, mówi tylko o tryumfie tego, co dobre, zdrowe i święte, jak gdyby te pojęcia cokolwiek oznaczały poza strukturą społeczną i polityczną. Przy tym trybie rozumowania można jednocześnie mówić „za” i „przeciw”. Ale jednocześnie również nie trudno jest odkryć, „jako się pismo niejasne wyklada”.

domach noclegowych i jarmarkach, aby „zbliżyć scenę do życia”, są wyznawcami zasady Tołstojca, że w człowieku należy pielęgnować dobro.

Ale w obliczu nieubłaganej prawdy życia, cofają się tchórzliwie. Pastuchow w obliczu żandarmów zapomina o swym niedawnym zachwycie dla młodzieńczego, szczerego rewolucjonizmu i szuka dróg, by odzyskać dobrą reputację, „blagonadźno” w sposób niezbyt różniący się od tego, jak to czyni Merkuriusz Mieszkw.

Na „polu walki” pozostaje Cyryl Izwielow — uczeń, młodzieniec kochający prawdę, który mimo swego młodego wieku znalazł już właściwą drogę, on, który nie załamuje się w śledztwie i idzie na zsyłkę, nie wydając współtowarzyszy. W bohaterstwie Cyryla nie ma śladu patosu, nie jest ono sztuczne ani ekliwe. Cyryl, to jeden z tych licznych, młodych rewolucjonistów, poznających dopiero w więzieniach i na zsyłce teoretyczne podstawy ruchu społecznego, którego byli oddani, mi bojownikami.

Takich jak Cyryl jest wielu. Walka o prawdę, której poświęcił swe życie chłopiec, jest walką setek tysięcy ludzi twardych i nieugiętych.

Fiedin ukazał w swej powieści nie tylko pierwsze porywy rewolucyjne rosyjskiej prowincji, nakreślił także bogatą galerię typów ówczesnej Rosji. Każda z tych postaci jest mocno zindywidualizowana, każda ma swoje życie, poglądy, zainteresowania.

Żywy rysunek postaci, ciekawie rozwijająca się wieloplanowa akcja powieści, realistyczny obraz życia ówczesnej Rosji i głęboka prawda społeczna — te główne walory książki sprawiają, iż stanowi ona przyjemną i pożyteczną lekturę.

Przekład Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza staranny. Tłumaczowi udało się w wielu miejscach (zwłaszcza w dialogach) odtworzyć rozległość mowy rosyjskiej i żywy tok narracji.

Marian L. Bielicki

Po części dokonał tego Jerzy Turowicz w Nr 47 „Tygodnika Powszechnego”. Zacytowałem słowa listu pasterskiego o tym, aby nikt nie dał się „sprovokować do nierozsądnych kroków przez ciemne elementy, które chciałyby osłabić żywotność narodu”, a dalej o tym, że „krwią polską nie wolno szafować w bezcelowych rozgrywkach”, bo „narod musi pozostać silny, żywotny, zdolny do urzeczywistnienia tego, co **jutro** (podkr. Kandyda) ma stanowić jego wielkość”. Turowicz orzeka:

„Powyższe słowa mają wyraźny charakter wskazań moralnych. Nie mniej jednak posiadają one głęboką wymowę polityczną”.

Nareszcie! O to tylko chodzi, aby z tej wymowy politycznej zdać sobie sprawę i rozumieć sens listu pasterskiego poza jego sensem pozornym. „Nie wiemy — mówi Turowicz — czy wojna jest nieunikniona, choć wiemy, że jej możliwości nie można wykluczać”.

Święta prawda, ale już od wieków minęły czasy wojen dynastycznych i w naszych czasach konflikty przeniosły się wyłącznie na płaszczyznę ideologiczną, gdzie istnieją konkretne i sprecyzowane założenia społeczne i polityczne. Założenia socjalizmu i świata demokracji ludowych wyprowadane są zawsze w słowach jasnych i jednoznacznych. To głosimy, a to potępiamy. W sprawach ideologicznych nie ma miejsca na dyplomację.

Nieomal to samo da się powiedzieć o autorzytatywnej wypowiedzi „Tygodnika Powszechnego”, skreślonej przez naczelnego redaktora tego pisma. Turowicz dostrzega wielką grę polityczną między pierwszymi partnerami świata: Waszyngtonem i Moskwą, ale chociaż potępią kierowaną przez zagranicę działalność dywersyjną w Polsce, i chociaż — niby nowy pozytywista — nawołuje do systematycznej i wytrwałej pracy, to jednak jego stanowisko w „wielkiej grze politycznej” między Waszyngtonem i Moskwą nie da się ani ukryć ani zataić. Razem ze swym piśmem Turowicz stoi po stronie tego, co według słów listu pasterskiego **jutro** ma stanowić wielkość narodu.

Rozumiemy to **jutro** listu pasterskiego tylko jednoznacznie. **Jutro** ma być światem zwycięskiego kapitalizmu, który stworzy wygodne warunki prosperowania nie dla religii (bo ta nam nie przeszkadza), lecz dla „książąt Kościoła”. Realizm polityczny, pozytywizm, „spokojna, systematyczna, wytrwała praca, praca pozytywna, praca organiczna” — to tylko zasłony dymne, skoro nie uznaje się rzeczywistości, z której ma wyrosnąć owo **jutro** i skoro owo **jutro**, nacechowane iluzjami świętości ze starych i nowych, feudalnych i kapitalistycznych struktur społecznych, nie ma być dalszym ciągiem dnia dzisiejszego. To pozycje kapitalizmu amerykańskiego. Kapitalizm ten jest nowoczesną formą niewolnictwa, z którym socjalizm walczy tak samo, jak ongi Kościół — gdy reprezentował ongi siły postępu — walczył z niewolnictwem i patrycjatem świata starożytnego. Ten sam Kościół stoi dziś po stronie struktury skostniałej i nieludzkiej. Tam widzi swe **jutro**.

Ale **jutro** będzie na pewno inne. **Jutro** nie będzie należeć ani do ksiąząt kościoła ani do ksiąząt kapitału. **Jutro** jest niemożliwe bez dnia dzisiejszego, a dzień dzisiejszy już należy do socjalizmu.

Kandyd

## KOESPONDENCJA

DO REDAKTORA „KUŹNICY”

Toczy się obecnie walka z różnego rodzaju pseudo naukowymi dziełami, które jeszcze dziś wydawane są drukiem i z których korzysta ucząca się młodzież. Nie widzę walki z pseudo krytyką literacką. Doktor Filozoffi Stefan Papeż zajmuje się tą „galezią” z dużym powodzeniem, wydając od czasu do czasu w druku grube książki tzw. „historie literatury”, czy coś w tym rodzaju, oczywiście i przede wszystkim dla użytku młodzieży szkolnej. W tych brykach stosuje oczywiście „uczona” zasadę: podobam się, niepodobam, w której klasyfikuje pisarzy według sobie tylko znanego klucza dość specyficznego. Między innymi w swoich elukubracjach przesładowuje mnie stale i złośliwie tym, że nie posiadam wykształcenia i że z tego wyłącznie powodu wszystkie moje prace literackie są do niczego, nieomal grafomańskie. Nie chodzi mi o jego ocenę, gdyż jest to sprawa jego gustu, ale o pogardliwy i z wysoka pobłażliwy ton, podkreślający mój brak wykształcenia. Przypadkowo znam tego pana z dzieciństwa i kiedy ja w wieku szkolnym nosiłem wapno murarzem, pan ten „uczęszczał” do specjalnego gimnazjum prywatnego, przeznaczonego „dla najwyższych sfer”. Wiem zatem w jaki sposób osiągnął swoje wykształcenie, natomiast nie ma zielonego pojęcia, jak ja je zdobywałem. W tych szkołach, do których „uczęszczał” nie nauczyli go szacunku dla cudzych wysiłków, nie nauczyli go, co to jest np. praca pisarza i tego, że ja np. mógłbym ukończyć 4 fakultety i zrobić pięć doktoratów a pisałbym tak jak pisze, gdyż wiem jak pisze i dla kogo pisze. A że się to panu doktorowi filozoffi nie podobalo, to już nie moja wina. P. Papeż książki swoje już wydał i są niewątpliwie czytane, zwłaszcza przez młodzież, która nie jest temu winna. W tych książkach pan ten stale klepie mnie po ramieniu. Czy mam go także poklepać? Czy się nie obrazi?

Jan Brzoza.



PRZEGLĄD PRASY



STATNI, październikowy numer miesięcznika „Twórczość” został niemal w całości poświęcony sprawozdaniom z poszczególnych ośrodków kulturalnych kraju.

Nie będę się tu zajmował rozważaniami, czy słusznie postąpiła redakcja miesięcznika literacko-krytycznego, że zamiast prac krytycznych, zamiast tekstów literackich drukuje w takiej ilości materiały sprawozdawcze, które w końcu mogłyby znaleźć sobie przytułek gdzieś indziej. Nie wiem, czy jest słuszne, by na ogólną liczbę 129 stron 100 stron niemal poświęcać tej sprawie.

Istnieje przecież w Polsce w każdym większym ośrodku kulturalnym przynajmniej jedno pismo, które zajmuje się życiem kulturalnym danej dzielnicy czy okręgu. „Arkona” w Toruniu, „Odra” na Śląsku, „Echo literacko-muzyczne” w Poznaniu, „Dziennik Literacki” w Krakowie, nie licząc wielu innych pism, których nie wymieniam nie mając ich w tej chwili pod ręką. Otóż myślę, że właśnie zadaniem tych pism, skoro wychodzą, byłoby informowanie reszty kraju o tym, co dokonano na terenie i w zasięgu ich działania.

Tymczasem „Twórczość” zdublowała rolę tych wszystkich pism i niejako przejęła ich zadanie. Myślę, że jest to jednak niesłuszne. „Twórczość” jest jedynym poważnym miesięcznikiem literacko-krytycznym i powinna być pismem wzorcowym, powinna przynosić najwybitniejsze prace z dziedziny krytyki i najdoskonalsze utwory literackie polskie i obce. Powinna wreszcie, jak to nieraz już robiła, informować o wydarzeniach kulturalnych, ale nie o wszystkich, tylko o tych, które choć zachodzą w Krakowie, Łodzi czy Warszawie są zjawiskami pojedynczymi, wyjątkowo ważnymi i wzorcowymi. Np. sprawy muzeum narodowego w Warszawie, sprawy muzeum Czartoryskich, muzeum sztuki w Łodzi, Filharmonia katowicka, ośrodek malarski w Sopotach, etc. Ale to wszystko powinno być raczej mieścić się w jednym artykule obszernym. Czy to jest takie ważne, że ktoś z młodych poetów wrocławskich „wyzwała się stopniowo z dotychczasowego egotyzmu”? Owszem, to jest na pewno ważne, ale wolę czytać o tym w „Odrze” lub w recenzji utworów tego poety, nie w sprawozdaniu w „Twórczości”. Oczywiście — każdy ze sprawozdawców widzi z bliska swój teren i hierarchizuje sprawy według ich znaczenia w tym terenie. Wiadomo — każda placzka swój ogon chwali! — czyniłem zresztą to samo, gdy przed dwoma laty pisałem w „Twórczości” moje „Listy z Łodzi”. Ale tym bardziej czuję się upoważniony do kwestionowania słuszności przenoszenia skali zainteresowań terenowych, lub powiedziałem to wyraźnie — regionalnych — na tło „Twórczości”. Tak, to prawda, życie kulturalne kraju składa się z tych wszystkich elementów i jest rzeczą słuszną, by wszystkie one były uwidocznione i ocenione, ale taki miesięcznik jak „Twórczość” powinien omawiać już tylko sprawy najważniejsze i obowiązujące jednakowo dla Łodzi, Krakowa, Poznania czy Warszawy.

Nie występuję więc przeciwko omawianiu spraw rejonów, lecz występuję przeciwko pomieszaniu kompetencji. Piszę to tak wyraźnie po to, by mi nie zarzucano, jak się to już zdarzało, lekceważącego stosunku do życia kulturalnego poza linią Łódź—Warszawa.

W pewnym sensie takim artykułem o znaczeniu ogólnym jest wstęp do sprawozdawczej części numeru pióra Kazimierza Wyki pt. „Geografia kulturalna” roku 1947/8”. Artykuł ten, sam będący sumarycznym sprawozdaniem, a także zapowiedziany przez Wykę „Diariusz kultury polskiej za rok 1947”, jaki ma się ukazać w „Twórczości” wzorem lat ubiegłych — oto dwie pozycje, które moim zdaniem całkowicie w „Twórczości” mogą zaspokoić potrzeby informacyjne co do życia kulturalnego poszczególnych ośrodków.

Sam Wyka w pewnej mierze potwierdza moje zdanie, gdy mądrze pisząc o różnicy znaczenia ruchów personalnych i instytucjonalnych, powiada „musimy zatem w ocenie (życia kulturalnego — przyp. mój) dokładnie rozróżnić przesunięcia osób od przesunięć organizacji kulturalnych, ruchy personalne od ruchów instytucjonalnych”. Wyjaśniam, iż mowa tu o „dynamice kulturalnej”.

Otóż Wyka może właśnie dokonać tego rozróżnienia w swoim artykule, ale nie mogą go dokonać poszczególni sprawozdawcy, bo dla nich — i słusznie — wszystko jest „ważne”.

Poza materiałem sprawozdawczym numer październikowy „Twórczości” przynosi interesujący artykuł Józefa Sieradzkiego, omawiający studia Lenina nad Feuerbachem, którego dzieło „Vorlesungen über das Wesen der Religion” czytał wielki rewolucjonista w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Obszerne sprawozdanie z Kongresu Wrocławskiego przynosi artykuł Kazimierza Wyki „Kolumna i globus”.

Obie te prace — Sieradzkiego i Wyki — to właśnie ten rodzaj materiału jaki radbym zawsze widzieć w jedynym polskim miesięczniku literacko-krytycznym.

„Mówi do was Hans Fritsche”

Możemy sobie wyobrazić, co się będzie działo, gdy wszyscy dostojnicy hitlerowscy odsiedzą swe kary i wyjdą na wolność, skoro widzimy, że już dziś wielu z nich bezkarnie uprawia swą propagandę. Oto odezwał się jeszcze jeden: Hans Fritsche, uwięziony przez międzynarodowy trybunał



w Norymberdze, a skazany przez niemiecki trybunał denazyfikacyjny na osiem lat ośmiesięcznej kary w obozie pracy.

Za czasów hitlerowskich Fritsche był tubą propagandy radiowej regime'u. Jego audycje oficjalnego komentatora zaczynały się od zapowiedzi: „Mówi do was Hans Fritsche” i były znane w całej Europie. Jego komentarze stanowiły coś w rodzaju radiowego odpowiednika artykułów Goebbelsa w „Das Reich”.

W obozie pracy pod Norymbergą, gdzie w tej chwili przebywa, Fritsche napisał książkę i nadał jej znany i znamienity tytuł: „Mówi do was Hans Fritsche”, nawiązując tym samym wyraźnie do swych przemówień radiowych z okresu hitlerowskiego. Książka ta, przedstawiająca między innymi ostatnie dni III Rzeszy, ukazuje się wkrótce nakładem jednej z firm wydawniczych w Zurychu.

„Mówi do was Hans Fritsche”! A my tymczasem nie chcemy, aby Hans Fritsche mógł publicznie mówić do kogokolwiek. Za Hitlera powiedział już dość i dostatecznie przyczynił się do dzieła zniszczenia Europy. To odbiera mu raz na zawsze prawo głosu.

Margrabina i „Wszczęświat” czyli nasi stypendyści za granicą

Bardzo lubię literaturę budującą to też z wielkim wzruszeniem przeczytałem w ostatnim zeszycie miesięcznika „Wszczęświat” (zeszyt 8) wstępny artykuł pióra L. Stankiewicza o „Naukowej Fundacji rzymskiej im. margrabiny J. Umiaszowskiej”.

Proszę bardzo, czytajcie! „Kiedy mam możliwość podziwiania pięknej postaci margrabiny na wielkim portrecie znajdującym się w bibliotece, nie mogę oprzeć się głębokim refleksjom: to naprawdę wspaniała i szlachetna postać. Nie znam jej, ale przecież z owoców poznaje się drzewo. Nie tytuł, nie majątek, nie uroda są powodem szacunku, bez którego nie można tu stanąć — ale myśl, którą trzeba podziwiać. „Czy to sztuka, coś ufundować, je-



śli się ma pieniądze?” mógłby ktoś zapytać. Istotnie, — jeśli by się miało ich bardzo dużo, to może nie — ale sztuka jest myśleć i sztuka jest chcieć...”

A dalej, głęboka autorka, porównuje szlachetny czyn fundatorki ze zbrodniami hitlerowców. Proszę: „A to i tamto zrobił człowiek człowiekowi. Takie są możliwości ludzkie: albo pogrążać na dnie piekła, albo otoczyć choć na chwilę rajem. Tamci, którzy kazali złapanym odliczać pod ścianą do dziesięciu nie znali piękna pojęcia liczby, nie rozumieli jak wspaniałym zjawiskiem jest życie, które gasną, nie wiedzieli, że sił swych mogliby użyć do innego celu...”

Przepraszam bardzo, a gdyby hitlerowcy znali piękne pojęcie liczby, to co? Czy z tego wynika, że wiedzieliby jak użyć swych sił do innego celu?

I na zakończenie trochę poezji: „Róże, liście glicynii, róże azalie, kwitnące drzewo pomarańczy, brzoskwinie, jaśmin, bez i znowu

róże, a nad tym cedr z domkiem dla szpaka, drzewa laurowe, bukszpan, mirt, bluszcze, akwarium ze złotymi rybkami na jednym z tarasów i błękit włóski ze słońcem, którym na razie jeszcze nie mogę się nasycić — oto elementy rajskie, które nastroją pogodnie każdego przybysza”.

W tym wszystkim są tylko dwie rzeczy zabawne.

Pierwsza, że wytworna panna Stankiewiczówna udała się do Rzymu na studia w Instytucie Matematyki Stosowanej.

Druga, że „Wszczęświat” jest pismem przyrodniczym i organem polskiego towarzystwa przyrodników im. Kopernika.

W oba te fakty trudno uwierzyć.

jk.

Także krytyk

Nakładem Sp. z o. o. St. Jamielkowski Łódź ukazało się wydawnictwo „Podstawowe zagadnienia w literaturze polskiej”, opracowane przez niejakiego Jerzego Bielańskiego.

O wartości tej książki przekonać nas może kilka pierwszych z brzegu cytat. O „Beniowskim” Słowackiego czytamy:

„Duże bogactwo uczuć spotykamy w „Beniowskim”. Szczupły wątek narracyjny jest w tym utworze kanwą do wyrażenia uczuć ironii, miłośnicy do języka i podziwu dla potęgi Boga...”

Charakterystyka Zapolskiej:

„Wreszcie Gabriela Zapolska, aktorka krakowskiego teatru, ciesząca się dużym powodzeniem jako autorka u schyłku XIX wieku i w początkach XX stulecia, w drastyczny sposób przedstawiała obudę mieszczańską. W odtwarzaniu przesterowanych erotycznych zwłasczka u mężczyzny, którzy wyzyskują kobiety, stawiając je w sytuacjach bez wyjścia, wpada w niesmaczną przesadę...”

O współczesnej poezji polskiej:

„Do ciekawych poezji Tuwima należy młodzieńcza „Wiosna” — „Sokrates tańczący” — „Siódma jesień” — „Słowa we krwi”. — Piękny jest ostatni zbiór poety: „Kwiaty polskie”. Bardzo zdolnym lirycznym demokratycznym Polakiem jest Mieczysław Jastrun, autor „Poezji wybranych”, którego cechą jest powściągliwość i koturnowy spokój. Tematy, które głęboko poruszają serce poety i czytelnika, wyraża mimo to w sposób pełen powagi i obiektywizmu. W poezjach jego występuje coś ze zwartości i prostoty greckiej. Talentem szczerze poetyckim zwrócił na siebie uwagę i dalsi cenne poezje: Czesław Miłosz „Ocaleniem” oraz Julian Przybysz „Miejscem na ziemi”. Ostatni utwór jest bardzo trudnym poematem, mało dostępnym dla przeciętnych miłośników...”

I dlatego chyba „przeciętny miłośnik” Jerzy Bielański nie widział na oczy „Miejsca na ziemi”, gdyż w przeciwnym razie zorientowałby się, że to zbiór wierszy a nie poemat. Ciekawi jesteśmy także, kiedy to się ukazał „Zbiór” Tuwima „Kwiaty polskie”?

Podobne oceny i informacje mamy na przestrzeni bezmała dwustu stron książki. Niestety, trzeba stwierdzić, że firma St. Jamielkowski podtrzymuje w sposób godny smutnej tradycji „zasłużonej” łódzkiej „Poligrafiki” z jej smutnej pamięci Antologią 120.

Kto jest odpowiedzialny za dopuszczenie do druku tych małoodpowiedzialnych sądów? ..Cza.

Rozpalony Ożóg

odezwał się znowu, tym razem we „Wsi”. „Więś” jest pismem poważnym. Umieściła artykuł Ożoga zapewne po to, by ubawić czytelników. Chciała ich także czegoś nauczyć na tym przykładowo, w myśl zasady „uczyć — bawiąc”. „Odpowiedź” Pauliny Czyżowej, dana Ożogowi w tym samym numerze, jest rzeczową, rzetelną i bijącą na głowę autora tomu wierszy: „Ogier i makolągwa”. Poeta Ożóg przypomina w swojej wypowiedzi dawno zapomnianą teoryjkę, której holdowało kiedyś prowincjonalne pismo literackie „Okolica poetów”. Chodzi mianowicie o autentyzm. Ożóg gniewa się bardzo na krytyków i recenzentów, że zapomnieli o autentyzmie albo go mają w pogardzie. Ożóg przypisuje niepopularność autentyzmu faktowi, że „autentycyści” są przeważnie z pochodzenia chłopami albo robotnikami, a nasi krytycy mają mieszczańsko-szlacheckie uprzedzenia do wsi. „Do krytyki autentyzmu — pisze swoim wyborczym stylem Ożóg — zabierają się rozmaici

podszczęci przez kanale początkujący studenci poloniści, którzy rąbią na ślepo, na ile im sił starcza...”

Przeciw całej „holocie literackiej” występuje rozpalony Ożóg w imię czego? No, właśnie w imię autentyzmu. Nie zapomina przytem podnieść swojej roli i przypomnieć swych poglądów politycznych sprzed wojny. Pisze dostojnie (Ożóg o Ożogu). „Ożóg idzie jeszcze dalej, bo żąda w „Odrze” wyłącznej władzy dla chłopów w państwie totalnym z marszałkiem — chłopem na czele”.

Ożóg nie mówi, kto miał być tym „totalnym marszałkiem”. Sądząc z wywodów teo-



retycznych Ożoga — autentysta. Od tego czasu wiele się zmieniło. Na dzień dzisiejszy ma Ożóg swoją bardzo roztropną zasadę: „Patrz naokoło i słuchaj, ale kuferek zamykaj i swoje sobie myśl. To jest mądra zasada...”

Ano, gdy już o zasadach mowa, to jeśli chodzi o zasady „Okolicy poetów”, matuli i wychowawczynie autentystów, to różnie z tymi zasadami bywało. Najpierw dość liberalnie, ale później jak się Polska zaczęła faszyzować, to i „Okolica” trochę się sfaszyzowała. Nie pamiętacie już, moi kochani? No, to przejrzyjcie sobie ostatnie przedwojenne numery owej autentycznej, pralechickiej, polnej i rolnej „Okolicy poetów”. Ano w jednym z numerów tego pisma pojawiły się przekłady z nowszych niemieckich poetów, a na okładce tego numeru swastyka zakopiańska (przez nieśmiałość przypominać miała inny trochę znak, powszechnie znany. Ano, w innym nr-ze był taki literacki obóz koncentracyjny dla poetów polskich żydowskiego pochodzenia. Znaleźli się tam i Tuwim i Leśmian i Słonimski i inni, lepiej nie wymieniać, i tak wiadomo. Wszyscy bez wyjątku. Informacje dotyczące rasy autorów miała „Okolica poetów” pierwszorzędne, nie gorsze od pana ministra Michalskiego.

Ano, kiedyś w tych „Okolicach” było odpowiednio i przypisywano jak się patrzy, choć jeszcze „kilka numerów nazad” umieszczali niejedni z nich „utwory” swoje w „Okolicy poetów” z aprobatą redaktora. Ano, wiadomo, dzieje nie stoją w miejscu.

Cóż? Teoria autentyzmu zbliżyła się do swojej siostry przyrodniej „Blut und Boden”. W porządku.

Nie przypominalibyśmy tych starych czasów „Okolicy poetów”, gdyby nie wystąpienie Ożoga, który w ten sposób oddał niedźwiedzia przysługę autentyzmowi.

„Głupi niedźwiedziu, gdybyś w mateczniku siedział...”

Niedźwiedź nie posłuchał mądrej rady mądrego Poety, i nie tylko wyszedł z matecznika, ale jeszcze po smorgońsku zaczął tańczyć na rozpalonej blasze.

r.k.m.

Zasługi wydawców

Wielokrotnie zwracano uwagę w prasie literackiej na niską ilość wydawnictw z dziedziny polskiej literatury pięknej XIX wieku. Słaba inicjatywa wydawnictw spółdzielczych i prywatnych ulega czasem zwiększonemu nasileniu. Wydawało się już, że nie doczekamy się nowych tomów dzieł zebrań Orzeszkowej. Tymczasem przed kilku dniami pojawił się tom XIV tego wydania, obejmujący powieść „Bene nati”. Również nakładem „Więdy” ukazał się tom opowiadań Wacława Sieroszewskiego, jednego z najświetniejszych polskich stylistów, szczególnie w pierwszym okresie twórczości.

Nakładem prywatnego wydawnictwa „Ex libris” ukazała się powieść Wiktora Gomulickiego „Miecz i łokieć”. Nawiąsem mówiąc należałoby przypomnieć poetę — Gomulickiego.

„Czytelnik” wydał Kraszewskiego „Z siedmioletniej wojny”. Oto pełen kilkudniowych wędrowek po księgarniach, bo niestety jeszcze nie wszystkie wydawnictwa nadsyłają mi swoje edycje z zakresu dawnej literatury, której poświęcona jest w zasadzie ta rubryka. Godną pochwały jest również inicjatywa wydania wznowień wielkich powieści europejskich przełomu 19-go i 20-go wieku które jednak ze względu na swoje znaczenie, a być może także i ze względu na to, iż okres, których dotyczy jest już historycznie zamknięty, stanowią niemal pozycję klasyczną z punktu widzenia czytelnika, a są nią na pewno z punktu widzenia współczesnego pisarza. Po „Rodzine Thibault”, Martin du Gard’a, która zapoczątkowała „Książka”, „Wiedza” skości przystąpiła do wznowienia Galsworthy’ego „Sagi rodu Forsythe’ów”, której tom I „Posiadacz” niedawno się ukazał.

W zakresie tego typu literatury odczuwamy również poważne braki, które mogą być łatwo zaspokojone. Powieści te bowiem („Bud-denbrokowie”, „Czarodziejska Góra” Tomasz Manna, „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcellego Prousta), były świetnie przyswojone i należy je tylko wznowić.

ph.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”	Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ZOŁKIEWSKI	
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.	
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr. 95. — Telefon 204-75	
CENA OGŁOSZEN: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.	
WARUNKI PRENUMERATY:	
Miesięcznie zł. 80.—; kwartalnie zł. 240.—; półrocznie zł. 480.—; rocznie zł. 960.—.	
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P.K.O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy”.	
Drukarnia Nr. 4 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Zwirki 2 D—03420	